

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie . . . Rs. 7 kop. —
 Półrocznie . . . " 3 " 50
 Kwartalnie . . . " 1 " 75
 Miesięcznie . . . " — " 60

Za zmianę adresu dopłaca
 się kop. 20.

Cena pojedynczego nume-
 ru bez dodatku kop. 20.

GŁOS

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:

Rocznie . . . Rs. 9 kop. —
 Półrocznie . . . " 4 " 50
 Kwartalnie . . . " 2 " 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 gul. — 18 m.
 Półrocznie . . . 6 " 9 "

Ogłoszenia przyjmuje księ-
 garnia T. Paprockiego i S-ki
 pokop. 10 za wiersz petitowy
 lub za jego miejsce. Rekla-
 my po kop. 25.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA: Nowy - Świat Nr. 21 m. 20.

Ekspedycja główna: Nowy - Świat Nr. 41,
 w księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie
 jeden zeszyt dzieł naukowych.

TREŚĆ: Komisje gubernialne do spraw włościańskich,
 przez J. L. P.

O kooperacyję, (dok.) przez Edwarda Przewońskiego.

Psychologija dziecka, d-ra L. Wolberga, p J. Potockiego

Głosy: Opuszczony jubileusz. — Nieślusna skarga. — List
 pracownika. — Kredyt żydowski. — Z Brazylji.

Z kraju, przez J. Nieborskiego.

Korespondencje: Z lewego brzegu Wisły, przez J. Da-
 widową. Z Radomia przez Karola Hoffmana

Przegląd społeczny: Łódź, Z nad Pilicy. Radom, Ben-
 dzin, Częstochowa, Lida, Kijów, Z gub. Kijowskiej, Peters-
 burg, Kraków.

Przegląd polityczny.

Kronika powszechna.

Kronika literacka.

Odpowiedzi od redakcyi.

Ogłoszenia.

Odcinek: Na wodzie, Nowela przez Guy Moupasant.

W dodatku: Łużyce, wrazenia z podróży, przez Wilhelma
 Jelskiego. Arkusz 5-ty, (dokończenie).

Nakładem naszym wyszła świeżo odbitka z druko-
 wanej w Głosie powieści

Kazimierza Glińskiego

pod tytułem

SZKICE FOTOGRAFICZNE

Z ZAKUTEGO GRODU.

Cena kop. 80.

Komisje gubernialne do spraw fabrycznych.

Od dnia 1 (13) października zaczynają obo-
 wiązywać w Królestwie nowe przepisy praw-
 dawstwa fabrycznego. Przed paru miesiącami
 pisaliśmy o nich dosyć szczegółowo, teraz więc
 pomówimy tylko o komisjach gubernialnych do
 spraw fabrycznych, utworzonych na zasadzie
 prawa z dnia 3 (15) czerwca 1886 roku, które
 obecnie zastosowane zostało do Królestwa. Jak
 wiadomo inspekcja fabryczna podzielona jest
 obecnie na dwa okręgi, warszawski i piotrkow-
 ski, obejmujące po 5 gubernij, w każdym z nich
 będzie działać oddzielna komisja, jako nowa
 władza nadzorcza, z dosyć szerokim zakresem
 kompetencji.

Według prawa komisje składać się powinny
 z gubernatora miejscowego, który jest przewo-
 dniczącym, wicegubernatora, prokuratora lub
 podprokuratora sądu okręgowego, naczelnika
 gubernialnego zarządu żandarmerji, inspektora
 fabrycznego lub jego pomocnika, oraz z prezesa
 zarządu ziemskiego i prezesa zarządu miejskiego.

Ponieważ ani ziemstw, ani wybieralnych zarzą-
 dów miejskich niema w naszym kraju, powołano
 więc do komisji warszawskiej dwóch członków
 miejscowego komitetu przemysłowego, a do
 piotrkowskiej dwóch przedstawicieli fabrykantów
 miejscowych. Oprócz tego w komisjach za-
 siadać mogą z głosem doradczym: gubernialny
 inspektor lekarski, inżynier i mechanik, a nawet
 osoby prywatne o ile udział ich będzie uznany
 za pożyteczny.

Zakres działania komisji dosyć jest szeroki,
 mają bowiem prawo: 1) wydawania obowiązują-
 cych postanowień w sprawie zabezpieczenia ży-
 cia, zdrowia i moralności robotników podczas
 pracy w fabrykach i zamieszkiwania w domach
 fabrycznych, oraz w sprawie pomocy lekarskiej
 dla robotników i 2) układania przepisów dod-
 atkowych, dotyczących stosunku robotników pod-
 ręcznych, oraz pracujących kompanijami i arte-
 lami, do zarządu fabryki. Są więc komisje
 poniekąd instytucją ustawodawczą, ale zarazem
 posiadają władzę sądową, gdyż należy do nich
 rozstrzyganie spraw karnych o wykroczenia,
 wymienione w § 40, 41 i 42 „Przepisów szcze-
 gółowych“, oraz w art. 1359 Kodeksu karnego
 i popełnione po raz pierwszy, jeżeli wykroczenia
 te nie wywołały pewnych następstw, przewidzia-
 nych w specjalnej uchwale Rady państwa.

Wymienione powyżej artykuły Kodeksu głoszą:
 Art. 1359. „Jeżeli utrzymujący zakłady fabryczne
 przed upływem umówionego z robotnikami tych
 zakładów czasu, samowolnie obniżą płacę swych
 robotników, albo też zmuszać ich będą, zamiast
 przypadającej im płacy w pieniądzu, do od-
 bierania takowej w towarach, chlebie, lub in-
 nych jakichkolwiek przedmiotach, to podlegają
 oni zato: karze pieniężnej od 100 do 300 rubli,
 a nadto obowiązani są wynagrodzić robotnikom
 poniesione przez nich skutkiem tego straty.
 Art. 1359¹. Za wydawanie robotnikom płacy naj-
 emnej nie w gotowiznie, lecz odciętymi od pa-
 pierów procentowych kuponami, zarówno nie-
 płatnymi jeszcze, jak i takimi, których termin
 płatności już nastąpił, winni pracodawcy, lub ich
 pełnomocnicy, podlegają karze pieniężnej od 50
 do 300 rubli.

Jak zaznaczyliśmy, komisje nie mogą roz-
 strząsać tych wykroczeń fabrykantów lub zarzą-
 dzających fabrykami, które wywołały następ-
 stwa, przewidziane w artykule III uchwały Rady
 państwa. Otóż artykuł ten powiada: „Za wykro-
 czenia przewidziane w art. 1359 i 1359¹ Kod. kar
 gł. i popr. popełnione po raz trzeci, lub chociaż-
 by dopiero po raz pierwszy lub drugi, lecz gdy
 przewinienia te wywołały w fabryce rozruchy,
 połączone z naruszeniem spokoju lub porządku

publicznego i pociągnęły za sobą konieczność
 przedsięwzięcia nadzwyczajnych środków celem
 stłumienia nieporządków — zawiadowca fabryki
 ulega aresztowi na czas do trzech miesięcy,
 a nadto pozbawionym być może na zawsze pra-
 wa zawiadywania fabrykami.“

Sprawy tego rodzaju, jak również sprawy
 o znowę robotników, rozstrzyga sąd okręgowy.

Artykuły 40—42 „Przepisów szczegółowych“
 brzmią, jak następuje: Art. 40. Zawiadowca fa-
 bryki: 1) za trzymanie robotnika bez książeczki
 zarobkowej i 2) za niewłaściwe prowadzenie tej
 książeczki — podlega karze pieniężnej od 5 do
 25 rubli za każde wykroczenie, w razie zaś łą-
 czności kilku wykroczeń—sumie przypadających
 za nie kar. Art. 41. Zawiadowca fabryki za
 naruszenie postanowień przepisów niniejszych
 w przedmiocie: a) mianowania zastępców, b)
 przechowywania paszportów i prowadzenia list
 imiennych robotników, c) warunków otwierania
 sklepów fabrycznych, i prowadzenia w nich
 handlu; d) utrzymywania i prowadzenia przepi-
 sanych ksiąg; e) obwieszczeń, wywieszanie
 i ogłaszanie których jest obowiązkiem, f) kar
 porządkowych—podlega karze pieniężnej od 25
 do 100 rubli. Takiejże karze podlegają właściciele
 fabryk za niezachowanie przepisu dotyczą-
 cego mianowania zawiadowców. Art. 42. Za-
 wiadowcy fabryk: 1) za pobieranie od robotni-
 ków zapłaty za takie przedmioty, których użyt-
 kowanie powinno im być dozwolone bezpłatnie,
 tudzież za pobieranie opłaty w wypadkach, kie-
 dy to jest dozwolonem, ale w stosunku wyższym
 nad ustanowiony przez prawo, lub osobne prze-
 pisy; 2) za pobieranie procentów od pieniędzy,
 wydawanych robotnikom tytułem pożyczki, tu-
 dzież wynagrodzenia za poręczenie ich zob-
 wiązań pieniężnych i 3) za wypłacanie robotni-
 kom, zamiast pieniędzmi, znakami umówionymi,
 chlebem, towarami i innymi przedmiotami,
 oprócz kuponów — podlegają karze pieniężnej
 od 50 do 300 rubli

Względem inspektorów fabrycznych komisje
 gubernialne stanowią jakby instancję apelacyj-
 ną, w zakres ich działania wchodzi bowiem roz-
 poznawanie skarg na rozporządzenia inspekcji
 w sprawach, w przepisach szczegółowych prze-
 widzianych, oraz rozstrzyganie wątpliwości, ja-
 kie urzędnicy inspekcji napotkać mogą przy
 stosowaniu niniejszych przepisów. Skargi na
 postanowienia komisji wnosić należy w terminie
 miesięcznym do ministra skarbu, który rozstrzy-
 gać je będzie w porozumieniu z ministrem spraw
 wewnętrznych. Jeżeli kara nałożona na fabry-
 kanta lub zarządzającego fabryką nie przewyższa
 stu rubli, uchwała komisji nie podlega apelacji.

Z powodu utworzenia komisji gubernialnych *Warszawskiej Dniownik* zamieścił szereg ciekawych uwag, które tu dosłownie przytaczamy, powstrzymując się od wszelkich komentarzy:

„Otwarcia komisji gubernialnych do spraw fabrycznych, w dwóch najważniejszych punktach przemysłowych kraju tu-tejszego, a także zwiększenia personelu inspekcji fabrycznych — nie można nie uważać za środek nader pożądanym i niezbędnym. Przy rozwoju przemysłu w tych punktach, a zwłaszcza w okręgu piotrkowskim, zwanym zwykle łódzkim, stosunki między fabrykantami, majstrami i robotnikami układały się niezupełnie prawidłowo. Fabrykanci i przemysłowcy, przeważnie cudzoziemcy, którzy zdobyli u nas ogromne majątki, korzystając z braku urzędów, mających prawo mieszania się do ich stosunków z robotnikami, pozwalali sobie, odnośnie do ostatnich, na postępowanie nie tylko niewłaściwe z punktu widzenia moralnego, ale często i przeciwne prawu. Zmniejszanie płacy zarobkowej bez uprzedzenia robotników, nakładanie kar pieniężnych, nie odpowiednich do winy — wszystko to dopuszczaniem było w fabrykach nie tylko przez samych właścicieli, ale i z rozporządzenia zarządzających, a nawet majstrów. Eksploatacja robotników istniała nawet w pierwszorzędnym, najlepiej urządzonej i solidnej fabrykach i zakładach przemysłowych kraju. W fabrykach, należących do cudzoziemców, przeważnie Niemców, robotnicy pochodzenia miejscowego, wskutek antagonizmu narodowego, byli w rozmaity sposób uciskani przez majstrów zagranicznych i sztygarów. Następstwem tego był zaostrożony stosunek robotników w różnych miejscowościach względem kapitalistów, z czego, naturalnie, korzystali z łatwością rozmaici agitatorzy, tak miejscowi, jak i zagraniczni. Szkoda wielka, należy to przyznać, że ich robota destrukcyjna posuwa się naprzód i do sfery robotniczej przenikają teorie socjalistyczne, czemu, naturalnie, sprzyja w znacznym stopniu niezadowolone robotników ze swych chlebobawców.“

Dziennik wyraża nadzieję, że:

„Robotnicy, widząc troskliwość i zwracanie uwagi na ich położenie ze strony

administracji fabrycznej, nie będą ulegali wpływowi agitatorów; wdzięczny grunt dla tego rodzaju agitacji przedstawiają tylko ci robotnicy, względem których fabrykanci, ich zarządzający i majstrowie dopuszczają się samowoli, postępowania niesprawiedliwego i szorstkiego i zaniedbania ich potrzeb najpierwszych. Tacy robotnicy chętnie skłaniają ucho do podszeptów swych przyjaciół mniemanych, stają się narzędziami posłusznymi agitatorów, urządzają tajne zebrania i niedozwolone zbieranie składek, a wreszcie otwarcie wyrażają swe niezadowolenie przez urządzenie strejków.“

„Wypadki zjawienia się między robotnikami niezadowolenia w drodze nielegalnej dowodzą, że kwestyja robotnicza rozwijała się tutaj dotychczas nieprawidłowo. W roku ubiegłym np. z 1,000 skarg, jakie wpłynęły od robotników na ręce pomocnika inspektora fabrycznego, dozoru-jącego fabryki w guberni piotrkowskiej, połowę rozstrzygnięto na korzyść robotników, co dowodzi zasadności tych skarg. Należy dodać do tego, że przy rozstrzygnięciu tych skarg inspekcja fabryczna ograniczała się tylko do roli pośrednika, gdyż nie posiadała ona prawa przyjmowania udziału czynnego w załatwianiu sporów między robotnikami i pracodawcami.“

Taka znaczna ilość skarg, w znacznej części, jak urzędowo stwierdzono, uzasadnionych, wskazuje, że komisje sporo będą miały roboty. Rozszerzenie zakresu działalności inspekcji wywoła zapewne także zwiększenie czynności komisji, które rozstrzygać będą wszelkie nieporozumienia między inspektorami a fabrykantami. Z powyższej przytoczonych uwag organu urzędowego wnosić, zdaje się, można, że komisje nie będą krępować pożytecznej działalności inspektorów fabrycznych, ale owszem, z tych lub innych względów, będą jej raczej dopomagać.

J. L. P.

O KOOPERACYJĘ.

(Dokończenie.)

Nie widzimy także, ażeby ruch kooperacyjny upadał. Przeciwnie zyskał on wiele ostatnimi

czasami i staje się coraz śmielszym, coraz dalej idącym. Na fakt ten starałem się już zwrócić uwagę naszego ogółu na temże miejscu. Gdyby szanowni polemisci, posilający się artykułem niedawno powstałego francuzkiego „Przeglądu Ekonomicznego“, dla scharakteryzowania kooperacji angielskiej i wyciągnięcia z niego absolutnych wniosków ogólnych, chcieli przejrzeć dotychczasowe roczniki tego pisma, zobaczyliby, że panuje nie mniej żywy ruch na polu stowarzyszeń spożywczych francuzkich; że i one odbywają coroczne kongresy, mają swój związek centralny i autonomiczne okręgi kooperacyjne i że także stawia sobie coraz szersze zadania. Wspomnę tylko o planie wejścia w bliski związek z syndykami rolniczymi francuzkimi, powstałymi po roku 1884, liczącymi dziś 700 zorganizowanych i związanych w jedną całość kółek rolniczych. Syndykaty rolnicze francuzkie są również formą kooperacji. Kooperacja szerzy się także pomyślnie we Włoszech i wogóle w Europie zachodniej i środkowej. Na międzynarodowych kongresach kooperacyjnych, które się odbywały we Francji, utworzono nawet coś w rodzaju międzynarodowej organizacji kooperacyjnej. Nie tylko w praktyce kooperacja zakreśla sobie coraz szersze granice, lecz robi się coraz śmielszą i w teorii. Profesor ekonomii w Montpellier i redaktor rzeczony *Revue économique* p. Karol Gide na jednym z zjazdów wygłosił mowę o zniesieniu najmu w drodze rozwoju kooperacji. Jeden z młodych ekonomistów włoskich starał się nawet nakreślić cały system ekonomiczny w duchu usiłowań kooperacyjnych, o czym już także wspominałem w *Głosie*. Kwestyja zasobności stowarzyszeń spółdzielczych jest, jak nadmieniałem, drugorzędną, skoro bowiem ruch wzrośnie dostatecznie, może przyciągnąć potężniejsze środki. Klątwą usiłowań kooperacyjnych jest wplątanie ich do innych, równoległych lub równorzędnych dążeń i prądów, w charakterze nie zawsze zbyt pociągającym. Zdawna już mianowicie prawowierni ekonomiści zaczęli dość łaskawie patrzeć na stowarzyszenia spółdzielcze, lubo one z ich zapatrywaniem nie kwadrowały, dla tego mianowicie, że wydawały się one usiłowaniami zbyt drobnymi, nie zagrażającymi całości stosunków ekonomicznych, następnie zaś dla tego, że wywieszały one hasło „samopomocy“, t. j. trzymały się zdala od wszelkiej obcej, mianowicie od państwowej interwencji do stosunków ekonomicznych panujących, czego żądały radykalniejsze kierunki społeczne i czego obawiali się panowie ekonomiści i dla tych panujących stosunków i dla swych teoryj.

Sami propagatorzy kooperacji kładli niejedenkrotnie przesadny nacisk za ową samopomoc, lubo niewątpliwie leży w niej siła moralna, która

NA WODZIE.

NOVELA

przez

Guy de Maupassant.

Przeszłego roku nająłem domek wiejski nad Sekwaną, o kilka mil od Paryża, i jeździłem tam co wieczór, żeby przenocować. W kilka dni zaznajomiłem się z jednym z sąsiadów moich, człowiekiem, mającym mniej więcej około 40 lat, i najciekawszym typem, jaki mi się zdarzyło napotkać. Był to stary, zagorzały wioslarz, zawsze przy wodzie, zawsze na wodzie, zawsze w wodzie. Musiał urodzić się w łódce i z pewnością umrze w niej także.

Pewnego wieczoru, przechadzając się z nim nad brzegiem Sekwany, poprosiłem, żeby mi opowiedział kilka anegdot ze swego życia nawodnego. W jednej chwili ożywił się, przeobraził, stał się wymownym, niemal poetą. Miał on w sercu jedną wielką namiętność, namiętność pozerającą, nieprzepartą... rzekę.

— Ach,—rzekł on wtedy,—ileż ja mam wspomnień, przywiązanych do tej rzeki, która płynie tu oto przed nami. Wy, mieszkańcy ulic, nie wiecie, co to rzeka. Ale posłuchaj pan, jak rybak wymawia ten wyraz. Dla niego to rzecz tajemnicza, głęboka, nieznaną,—to kraina mirażów i fantasmagoryj. Widzi on w niej nocną

porą rzeczy, które nie istnieją, słyszy jakieś odgłosy nieznanne, drży, nie wiedząc dla czego, jak gdyby szedł przez cmentarz. Rzeczywiście, jest to najstraszniejszy z cmentarzy, ten, w którym się nie ma grobu.

Dla rybaka ziemia jest ograniczona, rzeka zaś w ciemnościach, gdy księżyc nie świeci, nie ma granic. Marynarz nie doświadcza tego wrażenia na morzu. Ono bywa często dokuczliwe, złe, to prawda, — ale wielkie morze krzyczy, wyje, jest jawne, otwarte, a rzeka jest milcząca, zdradziecka. Ona nie huczy, płynie zawsze bez szmeru, a ten wiekuisty ruch wody bieżącej jest dla mnie straszniejszy, aniżeli piętujące się bałwany oceanu.

Marzyciele utrzymują, że morze kryje w swym łonie ogromne krainy błękitnawe, w których topielcy toczą się pomiędzy wielkimi rybami, wśród osobliwych lasów, w grotach kryształowych. Rzeka ma tylko głębie czarne, w których trupy gniją w mule. Jednakże piękna jest, gdy błyszczą przy słońcu wschodzącem i gdy kołysze się zlekka pomiędzy brzegami, pokrytymi szemrzącą trzcina.

Otóż zdaje mi się, że historyje, szeptane przez wątle trzciny tak słodkimi głosikami, muszą być o wiele okropniejsze, aniżeli posępne dramaty, opowiadane przez fale wyjące.

— Ale kiedy pan życzy sobie słuchać moich wspomnień, opowiem jedną szczególną przygo-

dę, jaka mi się zdarzyła tutaj, przed dziesięciu laty.

Mieszkałem, tak samo jak dziś, w domu matki Lafon, i jeden z moich najserdeczniejszych przyjaciół, Ludwik Bernet, który obecnie zrzekł się sternictwa, jego rozkoszy i swobody, żeby wejść do rady stanu, osiadł we wsi C... o dwie mile niżej. Jadaliśmy obiad codziennie razem — to u niego, to u mnie.

Pewnego wieczoru, kiedy powracał sam jeden dosyć zmęczony, ciągnąc z moczolem dużą łódź 12-to-stopową, której używałem zawsze w nocy, zatrzymałem się na kilka sekund, żeby zaczerpnąć powietrza, ot tam, na skraju trzciny, o jakie 200 metrów przed mostem kolei żelaznej. Czas był przesłizny; księżyc świecił, rzeka błyszczła, powietrze było spokojne i łagodne. Ta cisza skusiła mię, powiedziałem sobie, że byłoby przyjemnie wypalić fajkę w tem miejscu. Com pomyślał, to uczyniłem też zaraz: pochwywszy kotwicę, zarzuciłem ją w rzekę.

Łódka, która płynęła z prądem w dół rzeki, do końca wyciągnęła łańcuch, poczem stanęła, a ja usiadłem w tyle na moim kozłochu, o ile się dało, najwygodniej. Nie było słyhać nic zgoła; czasami tylko zdawało mi się, że mię dochodzi leciuchne, prawie niedosłyszalne uderzenie wody o brzeg i spostrzegłem kępy wyższych trzciny, które przybierały osobliwe postacie i chwilami jakby się poruszały.

nie zasługuje na pogardę; szczególnie gdy nie ma egoistycznego charakteru; kryli się też niejednokrotnie pod płaszczyk konserwatywny, ścigając na się zarzuty stronnictw radykalnych, działających na szerszych polach stosunków politycznych i ekonomiczno-społecznych. Echo tych zarzutów odbija się i dziś, lubo polemika sama należy już do rzeczy przebrzmiałych. Najgłośniejszą była ona w słynnym starciu Schulze-Delitscha z Lassallem. Lassalle nie występował bynajmniej przeciwko stowarzyszeniom wytwórczym, skoro żądał dla nich państwowego kredytu. Schulze z Delitscha nie chciał jednak weale pomocy państwowej i popierał samopomoc a raczej pomoc wzajemną wyłącznie. Ztąd namiętna polemika, w świetle której przesadzamy i dziś usiłowania kooperacyjne. Wiem, że pobudki, każące p. K. R. Żywickiemu rzucać anatemy na ruch kooperacyjny i p. Książycowi cofać im swą sympatyję, płyną ze źródeł szlachetnych (dobremi chęciami, jak wiadomo, piekło jest wybrukowane), ze zbytniego jednak doktrynerstwa w pierwszym i ze zbytniej drażliwości w drugim wypadku. Obu rażą w praktyce kooperacyjnej zбочzenia od zasad spółdzielczości i niedostateczne wyrobienie członków. Gdzie jednak praktyka w zupełnej jest zgodzie z oderwaną zasadą, z ideałem! P. Żywicki, cytując słowa Mila o kooperacji i wyróżniając ideały kierowników, zdaje się być nawet niedalekim od przyznania słuszności tym ideałom, salwując się jedynie, po tem wszystkim, co powiedział, banalnym orzeczeniem o niedomaganiach praktyki życiowej. P. Książyc zaznacza, że „w łonie stowarzyszeń kooperacyjnych jest sporo ludzi przejętych ideą odrodzenia ludzkości za pomocą współdzielczości”. „Tacy ludzie, mówi dalej, są zazwyczaj członkami zarządu i pracują na rzecz stowarzyszenia z prawdziwym poświęceniem, otrzymując płacę zaledwie zwykłego robotnika... Takich oddanych całą duszą sprawie pionierów liczy kooperacja nie mało i działalności ich ruch cały ogromnie wiele zawdzięcza. Można to jednak powiedzieć i o każdym innym ruchu, wszędzie bowiem inicjatywa i praca wybitnych przywódców znaczą bardzo wiele. Wszelka zaś idea w życie wciela się bardzo powolnie, dowodem choćby „minimalne” programy partyj, idących w swych ostatecznych dążeniach o wiele dalej.

Nie należy przytem zapominać, że, występując przeciwko kooperacji, występujemy niejako przeciwko samej zasadzie stowarzyszenia, która w życiu obecnem tak wielką odegrywa rolę i tak różnorodnie obejmuje zadania. Nie pojmujemy dziś szerszego życia społecznego, ani przyszłego ustroju po za formą stowarzyszenia. Jakiekolwiek przebyć

ma fazy przeobrażenia społeczne, ostatecznym jego kresem pozostanie zawsze stowarzyszenie, w zakresie mianowicie produkcji stowarzyszenie wytwórcze, choćby i nie opierało się ono na własności kooperacyjnej i szerszej podlegało kontroli. Czy temi przyszłymi stowarzyszeniami będą dzisiejsze syndykaty zawodowe, jak we Francji, czy zasada udziału w zyskach doprowadzi do przeobrażenia dzisiejszych indywidualnych lub akcyjnych przedsiębiorstw w stowarzyszenia, czy w tej lub innej drodze przeprowadzoną zostanie własność zbiorowa, zawsze stowarzyszenie, kooperacja, pozostaje osią przyszłego ustroju.

Przejdźmy jednak od tych ogólnych rozumowań do naszych stosunków. Czy stowarzyszenie jest dla nas rzeczą tak mizerną, niepotrzebną i wsteczną, że nie warto żadnych usiłowań podejmować w tym kierunku? Wątpię, żeby kto podpisał się pod tak absolutnem twierdzeniem, a jednak wystąpienia w rodzaju powyższych uniemożliwiają dostęp nowych, świeżych sił na niwę, leżącą odłogiem. Jak ugor ten u nas wygląda, przekonać się możemy choćby z paru artykułów p. Nikodema Krakowskiego, zamieszczonych w „Dodatku miesięcznym” *Przełgl. Tyg.* za rok bieżący. Pan K. zajmuje się tylko spółdzielczymi stowarzyszeniami kredytowymi, po za którymi mamy zresztą zaledwie parę stowarzyszeń spożywczych. A i owych stowarzyszeń kredytowych mamy wszystkiego 9 (w Warszawie, Łodzi, Radomiu, Lublinie, Łomży, Kielcach, Pułtusk, Wiskitkach i Grójcu), liczących 10,390 członków. Prócz tego świeżo zawiązały się także stowarzyszenia w Kaliszu i Włocławku. Początki tych towarzystw kredytowych były bardzo skromne. Pierwszy kapitał zakładowy w kwocie kilkuset rubli zbierany był zazwyczaj z jakiegoś amatorskiego teatru lub koncertu. Osiem rzeczonych stowarzyszeń prowincjonalnych udzieliły w r. 1890 kredytu za sumę 2,559,791 rs., oraz przyjęły na lokację kapitałów na sumę 2,097,383 rs. Kasa pożyczkowa przemysłowców warszawskich, będąca prototypem i wzorem dla podobnych kas pożyczkowych na prowincyi, w ciągu 20 letniego swego istnienia (1870 — 90) udzieliła średnich i drobnych pożyczek na sumę 63,702,000 rubli, oraz przyjęła oszczędności w sumie 15,351,000 rs. Z wyjątkiem towarzystw zaliczkowo-wkładowych w Wiskitkach i Grójcu, udzielających kredytu przeważnie rolnikom, pozostałe kasy pożyczkowe wspierają swym kredytem rzemieślników i przemysłowców wiejskich. Początek tym skromnym i niezbyt płodnym usiłowaniam dało grono ludzi, które około 1865 rs. skupiało się przy wychodzącym podówczas w Warszawie „Ekonomiście”. Najczynniejszym na tem polu był p. Józef Kirsztrot-Prawnicki, który w roku

rzeczonym wydał pierwszą swą broszurę o stowarzyszeniach zaliczkowych. Pierwszy ten bodziec nie był bardzo silnym, potem zaś ruch spółdzielczy przycichł prawie zupełnie. Kilka kas pożyczkowych, powstających w długich odstępach czasu, oto cały rezultat dotychczasowy naszej spółdzielczości w Królestwie. Po owych pierwszych początkowaniach przyszły inne fale i prądy, które umysłowość naszą całkowicie od stowarzyszeń kooperacyjnych odwróciły. Zdaje się, iż przez chwilę istniało przy warszawskim towarzystwie popierania handlu i przemysłu „Biuro centralne dla spraw kooperacji”, ostatnimi czasy przyłączono je jednak do wydziału statystycznego... Nie było widocznie komu i nad czem pracować w naszym „Central Cooperative Board”. A jednak biuro rzezione czy sekcya mogłaby stać się ogniskiem inicjatywy i wlać nowe życie w naszą skarłałą spółdzielczość. Ułatwiłaby znacznie działalność opracowana niedawno w ministerstwie finansów „normalna ustawa dla kas zaliczkowych”. Program zajęć dla takiego kooperacyjnego patronatu, który p. Krakowski bezskutecznie przedstawiał Towarzystwu do uwzględnienia jest dość obszernym i urozmaiconym, niema jednak ludzi, którzyby chcieli jąć się pracy na tem polu.

P. Krakowski, z okazji naszych towarzystw zaliczkowych, podaje dosyć wiadomości o stowarzyszeniach spółdzielczych w innych krajach, lecz czyni to w sposób wiele niezupełny i często błędny, lubo powołuje się na źródłowe wiadomości. Między innymi, pośród stowarzyszeń zaliczkowych austriackich wymienia 206 galicyjskich i mówi, że wszystkie te stowarzyszenia w Austrii „zjednoczone są w jednolitą federacyję”, co jest z prawdą niezgodne, galicyjski bowiem związek stowarzyszeń spółdzielczych z siedzibą we Lwowie jest federacyją zupełnie odrębną i samodzielną, związaną tylko ze Słazkiem. Ruch kooperacyjny w Galicyi, jak o tem już wspominałem na tem miejscu (przy rozbiórce „Nędzy Galicyi” St. Szczepanowskiego) rozpoczął się w gronie ludzi, z których najwybitniejszymi byli: Romanowicz, Zgórski i Szczepanowski. Rozwinał się weale pomyślnie, jak o tem można się przekonać z wydawanych przez związek roczników. Prócz zaliczkowych powstała pewna liczba stowarzyszeń do zakupu surowego materiału, magazynowych i wytwórczych a nawet całkiem oryginalne stowarzyszenia „obrony własności ziemskiej”. Prócz tego w krajowej polityce ekonomicznej w Galicyi (jak na to szczegółowo zwracałem także uwagę w *Przełgl. Tygodniowym* za r. 1882), w związku z ruchem kooperacyjnym występowały nader charakterystyczne usiłowania przeobrażenia pierwotnych osad tkackich, zajmujących się tkactwem

Rzeka była zupełnie spokojna, ale wruszała mię niezwykła cisza, panująca dokoła. Wszystkie zwierzęta, ropuchy i żaby, ci śpiewacy nocni w bagnach, milczały. Nagle, z prawej strony, tuż przedemną zaskrzeczała żaba. Zadrżałem. Ona ucichła. Nie słyszałem już nic i umyśliłem wypalić fajkę dla rozrywki. Chociaż byłem zawołanym fajczarzem, nie mogłem. Zaraz przy drugim kłębie dymu zamdliło mię i przestałem. Zacząłem nucić. Dźwięk mego głosu sprawiał mi przykrość. Rozciągnąwszy się więc na dnie łódki, patrzyłem w niebo. Przez niejaki czas leżałem spokojnie; wkrótce jednak lekkie ruchy statku zaniepokoiły mię. Zdawało mi się, że się przerzuca olbrzymimi skokami od brzegu do brzegu rzeki. Potem przywidziało mi się, że jakaś istota czy siła niewidzialna wciąga go zwolna w głąb wody, następnie podnosi go i znowu opuszcza w dół. Byłem miotany, jak pośród burzy; słyszałem różne odgłosy dokoła siebie; zerwałem się na równe nogi. Woda błyszcziała, wszystko było spokojne.

Zrozumiawszy, że mam nerwy trochę wstrząśnięte, postanowiłem wrócić do domu. Pociągnąłem łańcuch, łódź poruszyła się, ale zaraz uczył jakiś opór. Ciągnąłem mocniej: kotwica się nie wydobyła. Zaczęła o coś w głębi wody i nie mogłem jej podnieść. Zacząłem znowu ciągnąć, ale daremnie, wtedy, przy pomocy wiosła odwróciłem łódź i skierowałem ją ku

górze rzeki, żeby zmienić położenie kotwicy. Napróżno... uwieźla. Rozzłoszczony, wstrząsałem z wściekłością łańcuchem. Nic się nie poruszyło. Usiadłem zniechęcony i zacząłem rozważać moje położenie. Nie mogłem nawet myśleć o tem, żeby skruszyć łańcuch, albo oderwać go od łodzi, gdyż był ogromny i wszrubowany z przodu w kawał drzewa, grubszy od mego ramienia; ale ponieważ wypogadzało się, miałem nadzieję spotkać niezadługo jakiego rybaka, który przyjdzie mi z pomocą. Ta niefortuna przygoda uspokoiła mię: usiadłem i mogłem nakoniec wypalić fajkę. Miałem przy sobie butelkę araku, wypilem więc parę kieliszków i zachciało mi się śmiać z mego położenia. Było bardzo ciepło, w najgorszym razie mogłem więc prznocować pod gołym niebem.

Naraz coś uderzyło zlekka o bok mojej łódki. Skoczyłem do góry i zimny pot oblał mię od stóp do głowy. Ten łoskot pochodził pewnie od jakiego kawałka drzewa, porwanego przez prąd, ale to było dostateczne, żeby mię znowu ogarnął jakiś dziwny niepokój nerwowy. Schwyciłem za łańcuch i wyprężyłem się z rozpaczliwym wysiłkiem. Kotwica nie drgnęła. Usiadłem zmęczony.

Tymczasem rzeka pokryła się zwolna białą mgłą, bardzo gęstą, która snuła się po wodzie zupełnie nisko, tak, że kiedym stanął, nie widziałem ani rzeki, ani nóg swoich, ani łodzi,

tylko czubki trzciny, dalej zaś równinę, błądą od blasku księżyca, a na niej duże czarne plamy, wznoszące się ku niebu, utworzone z gromad topól włoskich. Byłem jakby zagrzebany po pas w puchach osobliwej białości i nasuwały mi się urojenia fantastyczne. Wyobrażałem sobie, że ktoś próbuje wsiąść do mej łodzi, której nie mogłem już dojrzeć, i że rzeka, zakryta tą mgłą nieprzejrzywą, musi być pełną istot dziwnych, które pływają dokoła mnie. Wpadłem w bardzo przykry stan: skronie miałem ściśnięte, serce biło mi tak mocno, że mi się dusił prawie; tracąc głowę, chciałem uciec wpływ, ale zaraz zadrżał na tę myśl z przerażenia. Ujrzałem siebie, jak zbłąkany, idę na oslep wśród tej gęstej mgły, szamocąc się pomiędzy trawami i trzcunami, których nie mógłbym uniknąć, rżąc ze strachu, nie widząc wybrzeża, nie odnajdując mej łodzi, i zdawało mi się, że mię coś ciągnie za nogi w samą głąb tej wody czarnej.

Rzeczywiście, ponieważ wypadłoby mi płynąć w górę rzeki przynajmniej 500 metrów, zanim bym znalazł miejsce wolne od traw i trzciny, gdziebym mógł wsiąść na ląd, miałem dziewięć szans na dziesięć, że się nie zdołam pokierować w tej mgłę i utnę, chociaż jestem dobrym pływakiem.

Spróbowałem przekonywać siebie. Czulem silną wolę nieleknięcia się, ale było we mnie coś

jako przemysłem domowym, w stowarzyszenia wytwórcze, zasilane kredytem krajowym a nawet przez kraj zorganizowane (Organisation du travail). Coś podobnego starano się (także zrobić ze stowarzyszeniami mleczarskimi i t. p. Usiłowania te, jak sądzę, odbiegają o wiele od wyłącznej samopomocy, oszczędności i przedostania się do „warstw wyższych“. Dodać jeszcze winienem, że galicyjskie kółka włościańskie są także rodzajem kooperacji. Dotąd wodzone na pasku, z czasem jednak mogą się znacznie rozwinąć i wejść z jednej strony w styczność ze stowarzyszeniami spożywczymi na wzór aliansu projektowanego we Francji, z drugiej zaś znaleźć poparcie różnych instytucji i wpływów „krajowych“. Stowarzyszeniom zawdzięcza także Galicyja rozwój oświaty, szkolnictwa i t. p.

W Poznaniu, Prusach zachodnich i na Ślązku stowarzyszenia spółdzielcze, posiadające tam również swój związek, rozwinęły się dość pomyślnie, również jak kasy Reiffeisena, kółka rolnicze i tym podobne stowarzyszenia. Sądzę, że na polu stowarzyszeń spożywczych byłoby wiele do zrobienia w Królestwie. Lwowska „Narodna Torhowa“, założona przez byłego wychowawcę politechniki zurychskiej, Nahirnego, dowodzi, że można z powodzeniem stosować kooperację nawet do handlu. Rzemiosłom oddać mogą wielką przysługę nie tylko towarzystwa zaliczkowe, zapobiegające lichwie, lecz nadto stowarzyszenia do zakupu surowego materiału, magazynowe i t. d.

Trzeba tylko ludzi, coby w te skromne początkowania wnieśli niekłamany zapał dla sprawy kooperacji i szerszy polot. Bliższe zapoznanie się z ruchem kooperacyjnym wogóle i jego obecnymi zadaniami może, jak sądzę, wiele przyczynić się do wytworzenia takich pionierów.

Edw. Przewoński.

Ze względu na doniosłość poruszonej przez p. Przewońskiego sprawy, redakcja umieściła powyższy artykuł, pozwalając mi odpowiedzieć nań w przypisku. Czynnione mi przez p. Przewońskiego zarzuty są w znacznej mierze owocem nieporozumienia. Trudno w jednym artykule wypowiedzieć się zupełnie, tak żeby wszystkie strony kwestyi całkowicie wyjaśnione zostały. Artykuł p. Przewońskiego mógłby mi dać powód również do wielu zapytań i zdziwień. gdybym się nie starał wszystkich nasuwających się wątpliwości wyjaśnić przy pomocy poprzednich artykułów autora. Szkoda, że p. Przewoński nie postąpił w sposób podobny. Nie miałem wcale zamiaru negować dobrych stron kooperacji i odmawiać jej wysokiego pedagogicznego znaczenia, ani też zaprzeczać pożytku stowarzyszeń spółdzielczych dla rzemieślników i chło-

pów, utrzymywałem tylko i utrzymuję obecnie, że kooperacja *w obecnej swej formie* nie może rozwiązać podjętego zadania, t. j. nie może zmienić ustroju najemniczego na współdzielczy. Sam autor zdaje się, to uznawać. O kooperacji w innych formach, o których wspomina p. Przewoński, nie mówiłem wca e, nie mogę też mówić o nich obecnie, w przypisku; zwrócę wszakże uwagę autora na to, że żądania kooperacji w innej formie spotykamy w programach stronnictw, bardzo zawzięcie nawet wojujących z kooperacją w formie obecnie istniejącej.

J. Książczyk.

Psychologija dziecka.

Psychologija dziecka przez dr. L. Wolberga.

„Książeczka ta — powiada autor w przedmowie — nie rości pretensyi do zupełnej oryginalności, zbyt małem bowiem rozporządzając doświadczeniem własnem i wobec rozległości przedmiotu, na którego zbadanie samoistne i życia ludzkiego zamałem oprzeć się na badaniach uznanych na tem polu powag naukowych, przeważnie zaś na dziełach Darwina, Preyera, Pereza, Höffdinga i Spencera.“ Oświadczenie takie odrazu obniża skalę wymagań krytyki i, jakkolwiek może stać się dla recenzenta niebezpieczną sugestiją, to jednak w większości wypadków usposobi go na korzyść autora. Ułożenie zresztą podręcznika na podstawie kilku dzieł specjalnych nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się zdawać mogło. Wymaga to, w każdym razie, dokładnej znajomości i zupełnego opanowania przedmiotu. Co do książki p. Wolberga, to nie robi ona takiego wrażenia, iżby autora jej o podobną znajomość posadzić było można. Przedmiot jej, jak się zdaje, stanowi jego ulubioną rozrywkę umysłową w chwilach wolnych od zajęć zawodu lekarskiego, lecz ani systematycznie badanym ani zgłębnionym należycie przez niego nie był. Poznać to można zarówno z pewnej chwiejności, a niekiedy sprzeczności poglądów, z niejasności lub płytkości określeń, jak i z naiwnej uciechy, doznawanej przezeń z powodu ponownego odkrycia prawd, dawno znanych. „Objawy te (mowa o wyłączeniu zajmowaniu się niemowlęciami ssaniem) choć pozornie psychologiczne, opierają się jednakże na ścisłej podstawie fizyologicznej“ — oznajmia autor w jednym z pierwszych rozdziałów swej pracy, zapominając o tem, iż nie tylko niema nie sprzecznego pomiędzy „psychologicznością“ objawów oraz „fizyologicznością“ ich podstawy, ale że nie znajdzie on chyba ani jednego objawu duchowego, któryby w sposób mniej lub więcej bezpo-

średni nie spoczywał na jakiejś podstawie fizyologicznej.

Niemniej zniechęcająco działają liczne sprzeczności w jakie wpada autor, kompilując niezbyt starannie już z takiego, już z innego pisarza. „Ruchy impulsywne najwyraźniej zauważyć możemy u płoda, wszystkie bowiem kurczenia ciała nieurodzonej jeszcze istoty powstają bez żadnej pobudki zewnętrznej, są więc wynikiem wewnętrznej działalności nienrodzonego jeszcze organizmu“. Zapomina się przy tem, że, jak to sam autor zaznacza zresztą na innym miejscu, niektóre „kurczenia“ (?) ukazują się jako skutek bądź świadomej podniety zewnętrznej, bądź też poprosu niedogodnego położenia płodu, które również rolę zewnętrznej podniety odegrywa. Albo jeszcze: w jednym miejscu dowiadujemy się, że „młode dziecko upatruje w przedstawieniach teatralnych tylko zabawę, to jest udawanie akcyi życiowej, skutkiem czego pragnie ono czynny w nich brać udział“ — gdy tymczasem zaraz, na stronie następnej czytamy, że „przedstawienia teatralne mają dla nich znaczenie jedynie widowiska wzrokowego: ładne dekoracje, kostjumy aktorów, fontanna, wystrzały, ukazujące się zwierzęta, wózki słowem akcesoryja bawią je, gdyż mogą być pojęte; inne szczegóły i treść sztuki — to dla nich *terra incognita*, skutkiem czego zasypiają one tak łatwo podczas przedstawienia“. Wychowawców przeto pozostawia się tu na pastwę srogiej niepewności co do tego, czy „młode dziecko“ upatruje w przedstawieniach teatralnych akcyję życiową, w której chciałoby brać „czynny udział“, czy też widzi w nich „akcesoryja“, wskutek czego“ tak często zasypia.

Obawiamy się jednak, aby wykazywanie tych braków nie zrodziło w umyśle czytelnika niewłaściwej oceny książki, obawiamy się zaś tymbardziej, że w dalszym ciągu chcielibyśmy wspomnieć jeszcze o paru innych usterkach jej, nieco poważniejszych. Dlatego też pośpieszamy z zaznaczeniem dodatnich stron dzieła.

Treść całej pracy rozpada się na cztery części, z których pierwsza mówi o rozwoju zmysłów, uczuć i woli. Autor kolejno stara się określić i wyswiełić znaczenie zmysłów ciała, ograniczając się w tem do klasycejn liczb pięciu. Rutyna ta nie zawsze korzystną bywa dla wykładu: tak na przykład, zarówno mówiąc o kierowaniu się w ciemnej przestrzeni, jak i, później, rozprawiając o genezie poczucia osobowości, p. Wolberg nie uwzględniła należycie zmysłu mięśniowego przez co jego tłumaczenie nie jest tak jasne, jak by być mogło. Wogóle część o zmysłach traktowana jest dosyć pobieżnie i od czasu do czasu zdradza również małą staranność w gromadzeniu odnośnych faktów.

innego, aniżeli wola, i to coś lękało się. Zapytywałem siebie, czego mogę się bać, — moje odważne ja drwiło z mego ja tchórzliwego i poznałem tak dobrzę, jak nigdy przedtem, sprzeczność pomiędzy dwoma jestestwami, które w nas są, gdy jedno z nich chce, drugie opiera się, a każde bierze górę po kolei.

To niedorzeczne i niezrozumiałe załęknienie wznagało się ciągle i przechodziło w trwogę. Stałem nieruchomy, z oczami otwartymi, z uchem nateżonym — i czekałem. Na co? Nie wiedziałem, ale musiało to być coś okropnego. Zdaje mi się, że gdyby jaka ryba była wyskoczyła z wody, co się często zdarza, padłbym nieprzytomny.

Jednakże, uczyniwszy gwałtowny wysiłek, zdołałem w końcu przytrzymać do pewnego stopnia odchodzące mię zmysły. Wziąłem znowu butelkę z arakiem i piłem z niej wielkimi łykami. Wtedy przyszło mi do głowy krzyknąć z całych sił, obracając się w cztery strony horyzontu. Gdy gardło moje zostało całkiem obezwładnione, zacząłem się wsłuchiwać, — pies był w znacznem oddaleniu.

Napiwszy się znowu, rozciągnąłem się w łódce. Leżałem tak może godzinę, może dwie, nie śpiąc, z oczami otwartymi, z widziadłami dokoła siebie. Nie śmiałem wstać, a jednak gwałtownie pragnąłem tego. Odkładałem z minuty na minutę. Mówiłem sobie: Podnieś-że się, — a bałem

się poruszyć. Nareszcie dźwignąłem się z tak wielkimi ostrożnościami, jak gdyby życie moje zależało od najmniejszego szelestu, i wyrząłem poprzez burt.

Olśnił mię wtedy najcudowniejszy, najbardziej zdumiewający widok, jaki można napotkać. Była to jedna z tych fantasmagoryj z krainy czarodziejek, jedna z tych wizyj, opowiadanych przez podróżników, którzy powracają z bardzo daleka i których słuchamy, nie wierząc im.

Mgła, która przed dwiema godzinami snuła się po wodzie, zwolna skupiła się na samych tylko brzegach. Pozostawiając rzekę zupełnie czystą, utworzyła na obu wybrzeżach wzgórza nieprzerwane, wysokie na sześć lub siedem metrów, które błyszczały przy księżycu wspaniałym blaskiem śniegów. Nie było zatem widać nic więcej, tylko tę rzekę, oblamowaną ogniem pomiędzy temi dwiema górami białymi; a tam wysoko, nad moją głową, roztoczył się wielki księżyc oświetlający, na środku nieba błękitnawo — mlecznego.

Wszystkie zwierzęta wodne ocknęły się: żaby zapalczywie skrzeczały, i co chwila, to z prawej, to z lewej strony dochodził mię też dźwięk krótki, jednostajny, i smutny, jaki rzuca gwiazdom miedziany głos ropuch. Dziwna rzecz, jużem się nie bał, — byłem w pośrodku krajobrazu tak niezwykłego, że największe osobliwości nie zdołałyby mię zadziwić.

Ile czasu trwało to, nie wiem, bom się zdrzemnął w końcu. Kiedym otworzył oczy, księżyc zaszedł, niebo pokryło się chmurami, woda pluskała posępnie, wiatr dął, zimno było i gęste ciemności panowały.

Wypiłem resztę araku, a potem, drżąc cały, wsłuchałem się w szelest trzciny i ponury szmer rzeki. Usiłowałem zobaczyć coś, alem nie mógł rozpoznać ani łódki, ani nawet rąk moich, które zbliżyłem do oczu.

Zwolna jednak czarność stała się mniej gęstą. Nagle wydało mi się, że czuję cień przesuwający się tuż koło mnie. Krzyknąłem, czyjś głos odpowiedział mi: był to rybak. Zawołałem go, przybliżył się i opowiedziałem mu swoją przygodę. Pchnął wtedy swoją łódź do mojej i wspólnymi siłami ciągnęliśmy łańcuch. Kotwica nie ruszyła się. Nadchodził dzień, ciemny, szary, dżdżysty, lodowaty, — jeden z tych dni, które przynoszą z sobą smutki i nieszczęścia. Spostrzegłem inną łódkę, — zawołaliśmy. Człowiek, który nią płynął, przyszedł nam na pomoc: zwolna, kotwica ustąpiła, wznosiła się do góry, ale powoli, powoli i obarczona znacznym ciężarem. Nakoniec dostrzegliśmy masę czarną i wyciągnęliśmy ją na moją łódkę.

Był to trup starej kobiety, która miała duży kamień u szyi...

Tłom. Zofija Grabowska.

Mówiąc naprzykład o dotyku, autor pomija zupełnie sprawę niejednakiej wrażliwości dotykowej rozmaitych okolic ciała, chociaż, jak sądzimy, stosowne przykłady mogłyby właściwie u niego znaleźć miejsce. Wiele przeoczeń podobnych można położyć zresztą na karb tego, że książka p. Wolberga nie tyle jest „psychologią dziecka“, mającą służyć jako poglądowy wstęp do psychologii ogólnej, ile raczej stanowi ona podręcznik psychologii wychowawczej, którego twórca pozwala sobie tu i owdzie zbaczać do dziedziny teorii

Jakoż pod względem wychowawczym książka p. Wolberga może największą posiadać doniosłość, i najznaczniejszy przynieść pożytek. Rodzice i wychowawcy znajdują tam bardzo wiele rad i wskazówek, odkrywają przyczyny niezrozumiałych dla siebie albo nawet niepokojących objawów duchowego życia niemowląt i dzieci. Większą część z pomiędzy owych objaśnień i napomnień spotykała już nasza publiczność czytająca — w innych książkach; ponowne zebranie ich jednak, przedstawienie w postaci mniej więcej systematycznej stanowi niewątpliwą zasługę autora. Szkoda tylko, że i pod tym względem niezawsze dopisuje mu bądź wynalazczość osobista, bądź też umiejętność korzystania ze zdobyczy cudzych. Oto naprzykład, potępiający tak zwane teatrzyki dzieciinne (w czym się zgadzamy z nim najzupełniej), doradza on natomiast pewnego rodzaju pantominy; coż jednak, kiedy przykład wybrany ku zaleceniu tej zabawki zawiera w sobie „staruszkę, która nie szczerdzi kułaków“, oraz dwie sługi pracujące gorliwie, „zwłaszcza na widok kija“. Opisałwszy tę niewinną sielankę z kijem i kułakami, autor utrzymuje, że „tego rodzaju przedstawienia rozsądne i estetyczne więcej mogą korzyści przynieść naszym dzieciom, niżli szopki i maryjonekowe teatry, w których dziadek upija się wódką, a strażak sprośnie ściska zamorusaną Zośkę“. Ależ, skoro staruszek wolno uwijać się z kijem i „nie szczerdzi kułaków“, to dlaczegoż byśmy mieli wykonywać zamach na gastronomiczne zapędy dziadka lub uniesienia erotyczne strażaka? Przesadą byłoby karmić umysłowość dzieci samymi śledziami, wymoczonymi w occie moralności; sądzimy jednak, że z dwóch przytoczonych obrazków właśnie pierwszy nie zaś drugi szkodliwie oddziaływać może na młodociany umysł. Ani upijać się, ani romansować z kucharką dziecko nie będzie z powodów od niego niezależnych; natomiast od czasu do czasu, w stosunkach z młodszymi nade wszystko dziećmi, potrafi ono przypomnieć o skuteczności kułaków i kija.

Bądź co bądź jednak, powtórzmy jeszcze, że dla rodziców i wychowawców książka p. Wolberga będzie nabytkiem pożytecznym.

Część druga poświęcona jest rozwojowi inteligencji dziecka. Autor najczęściej wpada tu w zdradzieckie sieci teorii, z którą sobie radzić nie umie. Zdaje się, że w tej właśnie części spostrzegamy największą ilość owych twierdzeń sprzecznych i nieścisłych określeń, o jakich wspominaliśmy wyżej. Prawie zaraz na wstępie niemile uderzają nas uwagi o asocjacji, gdzie widoczną jest albo niezajomość przedmiotu, albo przynajmniej niedbalstwo. Hołdując do zbytku może rutynie w innych częściach swej pracy, autor, niewiadomo dlaczego, nie zechciał tu uwzględnić najbardziej nawet klasycznych postaci skojarzeń; podał on natomiast taką ich klasyfikację i opis, że oprócz kilku niezbyt zrozumiałych ogólników, nie pozostawia nic w umyśle osoby czytającej. Nietylko pomija autor w podziale swoim asocjacje przyczynowościową asocjacje z przylegania w czasie lub przestrzeni, co później bardzo niekorzystnie odbija się na wykładzie ale nawet uwzględnionych przez siebie postaci skojarzeń — przez podobieństwo i przez kontrasty, nie umie czytelnikowi wytłómaczyć i przedstawić należycie: „dawniejsi filozofowie odróżniali te dwa rodzaje asocjacji jako dwie różne funkcje, lecz, zagłębiając się bliżej w istotę tych rzeczy, przekonamy się, że oba rodzaje działalności naszego umysłu stanowią jedną tylko własność, opartą na tej zasadzie, iż odebrane wrażenie (fizyczne czy umysłowe) wstrząsa całą grupą komórek mózgowych, wywołując w nich rozmaite wspomnienia.“ Czytelnik po objaśnieniu tem, tak samo jak i przed nim nie będzie wiedział dlaczego „rozmaite wspomnienia“ kojarzą się ze sobą na zasadzie podobieństwa, kontrastów i t. d. A jednak u streszczanych przez siebie pisarzy mógł autor znaleźć daleko lepszy i zrozumialszy wykład tej sprawy, że wspomnę tu tylko n. p. o poglądzie, uważającym dwa dane kontrasty za dwa skrajne ogniwa w łańcuchu rzeczy podobnych.

Rozdział o sądzeniu i wnioskowaniu, należący również do nieszczęśliwych kategorii teoretycznych, przedstawia braki niemniej poważne. „Oprócz psychologicznego określenia sądzenia posiadamy też fizjologiczne, podane przez anatoma Luysa. Zanim je powtórzmy, zwrócić musimy uwagę że, przy obecnym stanie fizjologii mózgu o rzeczywistych fizjologicznych tłumaczeniach mowy być nie może?“ Zgadamy się z autorem że obecny stan fizjologii wiele jeszcze w tej mierze pozostawia do życzenia, niemniej jednak pewną jest rzeczą, że stanu tego on nie zna. Badania Bineta i Ferego rzucają na sprawę tę daleko silniejsze światło, aniżeli wspomniany przez niego Luys. To samo da się powiedzieć o całym szeregu badań hipnotycznych. O potęgę fizjologicznych czynników sądzenia wie zresztą sam autor, gdy na stronicy 283 powiada: „być może, iż oczy poruszające się pod ruchomą maską i przytłumiony głos oddziaływały na wyobraźnię dziecka, które po za maską wstrętną nie było zdolnem wyobrazić sobie znajomej i sympatycznej dłoń osoby.“ W innych natomiast wypadkach nie umie autor uwzględnić należycie psychologicznych pierwiastków sądzenia; tak n. p. mówiąc o skłonności dziecięcego umysłu do powiększania widzianych przez nie przedmiotów, przytacza on wszelkie tego procesu czynniki, zapominając jednak o skali porównania, jaką dla dziecka musi być jego własna mała osoba. Wogóle poglądy teoretyczne zdają się stanowić dla autora pewien rodzaj miłej i pożytecznej zabawki, którą, na podobieństwo małych swych bohaterów, dość chętnie bierze on w ręce, ogląda i próbuje nieświeżo do ust ale z której rzadko kiedy właściwy robi użytek. W charakterze takich zabawek, ofiarowywanych autorowi bądź przez dziadkę Darwina, bądź przez wójcia Pereza lub Preyera, przesuwają się przed oczami czytelników rozmaite poglądy sprzeczne; gdyż każdy z nich kolejno może służyć jako rozrywka dla umysłu nie umiejącego ani zgłębiać ich, ani zestawić. „Upodobanie w stroju t. j. w ozdabianiu ciała własnego jest cechą dziedziczną, właściwą wszystkim ludziom“. Natomiast o parę stronic dalej „przekonywamy się, że upodobanie w strojeniu się nie jest uczuciem wrodzonym, lecz wobec wspomnień odziedziczonych wytwarza się nader łatwo pod wpływem naśladowania, próżności miłości własnej, ambicji,“ albo jeszcze: strojenie się mężczyzny oparte jest na podstawie fizjologicznej, mianowicie na chęci podobania się kobietom; przeciwnie zaś strojenie się kobiet opiera się na potrzebie pozyskania męża, a także na wrodzonej próżności.“ Z drugiej jednak strony dowiadujemy się, że „zmysł płciowy, o ile się zdaje, nie gra w tem żadnej roli;... najczęściej nawet chłopcom chodzi o zwrócenie uwagi swych rówieśników, a dziewczynkom o pochwałę rówieśniczek“.

Takie przygodne pobrzękiwanie przez autora teorią nie pozwala nam robić mu wyrzutów za to, iż w wielu miejscach pominął cenne wskazówki i napomnienia, jakimi psychologija dziecka mogłaby obdarzyć psychologię ogólną.

Część trzecia czytana być może z największym pożytkiem; niektóre zaś jej rozdziały jak np. o muzyce, o rysunku nie pozostawiają nic do życzenia z wyjątkiem tylko owych, wspomnianych wyżej, samodzielnych wycieczek autora do dziedziny etyki pedagogicznej. Nie mniej udatnymi, jakkolwiek skreślonymi bardzo pobieżnie, są rozdziały części czwartej, stanowiące dodatek; wogóle w całym dziełku nie ma ani jednego miejsca, któreby świadczyło o jakimś wielkiem zacofaniu autora, o hołdowaniu przezeń formułom i poglądom dawno już zarzuconym: przeczytanie bodaj paru wymienionych w przedmowie książek każdego mogłoby przed tem ochronić; widać tylko, że znajomość autora z przedmiotem jest zbyt dorywcza oraz, że dla dostarczonych lub zauważonych przez siebie faktów ani własnej teorii nie zdołał on jeszcze opracować, ani też należycie zespolić teoryj cudzych.

Całość wykładu skażona jest mnóstwem błędów i niewłaściwości językowych, co w książce, zwłaszcza pedagogicznej, razi niemile. W interesie młodych pokoleń należy też prosić autora, aby, nade wszystko w rozmowie z dziećmi „nie wynosił pożytku“ nie „przyjmował udziału“ nie używał giestów potrzebnych „dla porozumiewania się“, nie wskazywał przedmiotów „nieznanych dla siebie“. nie kazał dzieciom „przelewać“ łez, „spotykać się“ gdy mają się potknąć, „przyklekać najsamier na kolanach“, „śledzić za czemś oczami“, robić czegośkolwiek na „skutek“ spraw organicznych, aby żab nie zmuszał do „krakania“ i aby w końcu sympa-

tycznego siostrzeńca swego Kazia nie uczył mówić „ja chcę jabłko zamiast Kazio chce jabłko.“

J. K. Potocki

GŁOSY.

Opuszczony jubileusz. — Niesłuszną skargę. — List pracownika. — Kredyt żydowski. — Z Brazylii.

— (prs) Wobec rozwiniętej u nas jubileuszomanii, rzecz niesłychanie dziwna, że puszczono płażem tak wyborną okazyję, jak ćwierćwiekową rocznicę działalności literackiej, którą Brandes święcił przed kilku dniami w Kopenhadze. Gdy telegram nagle doniósł, że już po wszystkim; gdy dowiedzieliśmy się, że nikogo i nie od nas tam nie było; że obok telegramu Taine'a nie widniał telegram żadnego z „najbardziej rozpowszechnionych pism“ tu-tejszych — ogarnęło nas zdziwienie, zdziwienie daleko większe, aniżeli p. Brezy w chwili, gdy pp. Gebethner i Wolff zaproponowali mu napisanie *Literatury Polskiej*.

Ta nieobecność Warszawy na jubileuszu dowiodła jasno, że kult dla Brandesa tworzył zachwyty sezonowy. Kuryjery nasze, a za nimi i ta część naszego mieszczaństwa, które pozuje na „towarzystwo“, potrzebują co roku, na jesieni nowej gwiazdy do dekorowania podczas zimy swych szpał, swych rautów, swych obiadów. Raz nią jest jakiś śpiewak, to znowu powieściopisarz, to malarz, stale za granicą mieszkający, to znowu literat cudzoziemiec, to Cagliostro nowożytny, kelner londyński, pozujący u nas na lorda. Wówczas nie ma dnia, by nie obwieszczano o nim przeciętnemu tłumowi, co jadł, gdzie jadł, którą damę raczył zaszczyścić swą chustką. Lecz biada temu, kto, zostawszy gwiazdą sezonową, swe tryumfy uważa za poważne, za trwałe. Wiosna nadchodzi, a z nią gaśnie i ów zapal, mija potrzeba dekorowania rautów, gdyż one ustają. I gwiazda idzie między rupiecie bez względu na to, że niekiedy zgorzknieniem płaci przez życie całe za owo kilkutygodniowe upojenie.

* * *

— (prs.) Skarży się jakiś „niehandlujący“ w *Kuryjerze Warszawskim* na zaniechanie Nalewek ze strony zarządu miasta. Chodniki mają tam być nadzwyczajnie wąskie, oświetlenie niedostateczne, warunki higieniczne fatalne. Bardzo dobrze! Pozwólcież atoli pp. obywatele z Nalewek, by znowu inne dzielnice miasta poskarżyły się na was. Oczywiście, chodniki zawsze muszą okazać się zbyt szczupłymi, jeżeli całymi dniami urządzacie na nich giełdę pod gołym niebem, giełdę towarową, pieniężną, ubraniową, makagigową, śledziową bez względu na to, że przechodniom tamujące przejście swobodne! Chcecie, panowie, warunków higienicznych? Ależ w takim razie zaczujcie przede wszystkim od oczyszczenia swoich domów na wewnątrz i zewnątrz, od uporządkowania mieszkań, schodów, wiecznie zabłoconych i wilgotnych, podwórz cuchnących, składów odpadków nadgniłych! Kto porówna dom, stojący na ulicy, nie zalanej jeszcze żydami, z domem, leżącym już w którejkolwiek z coraz liczniejszych u nas dzielnic żydowskich — ten snadno zrozumie przyczyny, dlaczego w tych drugich dzisiaj o zachowaniu jakiegokolwiek porządku ze strony zarządu miejskiego mowy być nie może. Niedbalstwo, często zła wola mieszkańców, a skąpstwo właścicieli uniemożliwiają najlepsze zamiary.

* * *

— Otrzymujemy list następujący:
„Ponieważ *Kur. Warszawski* z d. 24 października r. b., mówiąc o polepszeniu warunków bytu czeladników piwarskich, nie zupełnie wiernie przedstawił okoliczności sprawy, przeto dla wyjaśnienia nie od rzeczy powiedzieć będzie słów kilka:

Nie każdemu może wiadomo, jak położenie czeladników piwarskich do tego czasu było ciężkie. Praca ich nie była ograniczoną i zupełnie zależała od fantazyi majstra lub fabrykanta kazać wstać im o godzinie drugiej i trzeciej i pracować do ósmej lub dziewiątej wieczorem.

Przy tem w czasie kampanii praca ta trwała bez przerwy, nie zostawiając nawet jednego dnia w tygodniu czeladnikom na odpoczynek i wytchnienie. Zważywszy jeszcze na warunki, wśród jakich praca w browarze odbywać się musi, t. j. w zimnie i wil-

goci piwnicznej, trudno się dziwić, że siły pracujących prędko się wyczerpują i że każdy po dojściu do 40 lat jest niezdolny do pracy, stając się przez to ciężarem ogółu, który go musi utrzymywać na gospodarstwie.

Zdawałoby się, że za tę ciężką pracę chociaż wynagrodzenie powinno być odpowiednie. Ale gdzież tam? Płaca dochodziła do 8 i 9 rs. tygodniowo i to tylko w czasie kampanii, trwającej pół roku. Na letnie zaś miesiące część czeladników była wypuszczana „na trawkę“, część zaś zostawiana za połowę ceny w browarze. Los więc nasz dotąd był nie do pozazdroszczenia. Za pół roczną ciężką pracę, człowiek nie mógł nawet tyle zarobić, żeby starczyło na lato i musiał przymierać z głodu.

Wprawdzie już oddawna zanosiliśmy próby do starszego majstra p. Machlejda o to, żeby wpłynął na innych właścicieli browarów, ale, jak się okazało, p. Machlejda był głuchy na wszystkie nasze próby. Wobec tego na ostatniej sesji, odbytej w ratuszu, jednogłośnie wystąpiliśmy do p. Machlejda, żeby zaprosił do siebie wszystkich pp. fabrykantów, którym moglibyśmy przedstawić swoje życzenia.

Po długich i po bardzo długich zwlekaniach, fabrykanci zdecydowali się na ten krok i po wielu wzajemnych utarczkach i naradach, trwających przeszło godzinę, zgodzili się na pewne ustępstwa, jako to: podnieść płacę wszystkim czeladnikom o 2 ruble tygodniowo, ograniczyć pracę od 4-ej rano do 7-ej wieczór z przerwą $\frac{1}{2}$ godz. na śniadanie i $1\frac{1}{2}$ godz. na obiad, zwalniać każdego z pracujących od zajęć kolejno na jeden dzień w tygodniu, zapewnić całoroczną pracę ze zmniejszeniem płacy o $\frac{1}{3}$ część w czasie lata, po skończonej kampanii.

Sądząc, że powyższe prawa pozostaną martwą literą i że czeladnicy nie będą mieli śmiałości o nie się upomnieć, fabrykanci podpisali się pod tą uchwałą, przy wprowadzaniu jednak jej w życie okazali opór. Tak np. większość najpoważniejszych firm, podpisawszy się na tej uchwale, warunków tych nie chciała wprowadzić w wykonanie. Dopiero na skutek ciągłych i natężonych domagań się, po trzech tygodniowym zwlekaniu nowe przepisy zostały wprowadzone we wszystkich browarach.

Jak widzimy z tego, zasługa wprowadzenia nowej ustawy w życie spada w każdym razie nie na pp. majstrów piwarskich!

Pracownik.

* * *

— (p.) P. J. G. Bloch zamieścił w *Bibliotece Warszawskiej* pracę p. t. „Ziemia i jej obdłużenie“, w której dowodzi, że właściciele ziemscy żydzi lepiej gospodarują aniżeli rolnicy „rdzenni“ i że udział żydów w kredycie hipotecznym nie jest wcale znaczny. O to kto lepiej, a raczej kto gorzej u nas gospodaruje, sprzeczać się nie będziemy. Dla wyjaśnienia zaś roli żydów w kredycie warto przeczytać, co w tym przedmiocie pisze *Wiek*, bardzo zresztą uprzejmy dla p. Blocha, którego nazwiska nie wymienia.

„Praca, o której mowa, usiłuje dowieść że: „liczba wierzycieli żydów równa jest liczbie wierzycieli-chrześcian; że kaucyj i ewikcyj żydowskich prawie nie ma (tylko 8% ogólnej cyfry), że stopy procentowe płacone żydom wyższe są, niż odsetki płacone chrześcianom tylko o $\frac{1}{2}$ % (?), co usprawiedliwia się tem, że należności żydowskie pomieszczone są w drugiej połowie szacunku, gdzie już zagraża utrata kapitału — słowem, należności żydowskie umieszczone są bezwzględnie źle, a wiadomo, że procent wzrasta wraz z zyskiem“

„Wierzimy, że udział żydów w kredycie hipotecznym znacznym być nie może, boć wiadomo, że warunkuje się on upadkiem materialnym właściciela hipoteki, który opędza się od tego udziału póki może i tylko twarda ostateczność popycha go na tę zgubną drogę. Chrześcianin-kapitalista szuka hipoteki jedynie i wyłącznie dla oprocentowania swego kapitału. Odsetki w umowach hipotecznych nie przechodziły nigdy 10%, a dziś wyżej 8 od sta nie przechodzą. Właściciel majątku, dopóki ma pierwszą połowę hipoteki do dyspozycji, nie ucieknie się po kredyt do żyda, raz dla tego, że się go obawia, powtóre, że ani chce, ani potrzebuje płacić wyższych nad wskazane odsetek, a żyd na takie nigdy pieniędzy nie daje“.

„Wtedy dopiero, kiedy właściciel ziemski musi przejść po za granicę pierwszej połowy szacunku, znajduje na swej drodze żyda i nie $\frac{1}{2}$ % więcej, lecz zwyczajnie płaci mu 18, 24, 36%, z których połowę przy pożyczce z terminem rocznym strąca się od razu z góry, druga zaś dodaje się do kapitału i w ogólnej sumie, jako kapitał procentujący zabezpiecza — o czem naturalnie akty i wpisy hipoteczne milczą, jak grób“.

Bardzo wielka ilość wierzytelności żydowskich, bądź umownych, bądź sądowych, powstaje z długów odręcznych, kilkakrotnie lichwiarskimi opłatami pokrytych, z fałszowanych podpisów, dokonanych przez marnotrawnych synów i zięciów, z pozornych kontraktów sprzedaży produktów rolnych, pokrywających zwykłą pożyczkę, a rozmyślnie układanych tak, by jedne i te same przedmioty kilku żydom parękroć sprzedano, a następnie z zobowiązań wyciśniętych groźbą procesów karnych za też sprzedaż lub za usunięcie (choćby na siew lub spalenie inwentarza) produktów z pod dokonanego na rzecz żyda zajęcia sądowego.

„Do obliczenia pobieranych przez żyda wierzyciela hipotecznego procentów, żaden rachunek prawdopodobieństwa zastosować się nie da, bo żyd „bezwzględnie źle ubezpieczony“, oprócz straconych pierwotnie, pobieranych częściowo na rachunek, doliczanych, dopisywanych, zkapitalizowanych następnie procentów, nakłada jeszcze na dłużnika różne haracze pod postacią nadmiernie taniego kupna, niemożliwych do spełnienia, a pod karami umownymi zastrzeżonych warunków, udziału w naturze, przymusowych podarunków, na święta i tym podobnych, nie dających się obliczyć wyzysków“.

Zamilezenie o tych zwyczajnych szachrajstwach, jest po prostu szachrajstwem naukowem.

* * *

— (o.) Dr. J. Siemiradzki w listach z Brazylii zwraca uwagę na to, że obecnie emigranci nasi idą wyłącznie prawie do prowincji Parana, gdzie w okolicach Curytyby znajdują się dawne kolonie polskie:

„Prąd instynktowny niemal pcha ich wszystkich do Curytyby; zapisują się oni, z bardzo małymi wyjątkami, próbującymi szczęścia w Porto Allegre, do stanu Parana. Do św. Katarzyny iść już nie chcą, istotnie bowiem stosunki wychodźców polskich w tym stanie są bardzo ciężkie, a do wszelkich niewygód i trudów, połączonych z klimatem gorętszym, przybywa tam jeszcze walka narodowościowa z dawniej już osiadłymi i niechętnymi polakom Niemcami, walka nieznaną w Paranie, niemającej wcale niemieckich kolonij rolniczych.

Rozmowa z emigrantami zaprowadziła nas wkrótce przed oblicze władzy policyjnej, pod eskortą dwóch drabów. List polecający z Rio Janeiro zmienia jednak zaraz usposobienie pana „delegado“, który usiłuje nam wytłumaczyć, że koloniści polscy najlepiej uczynią, osiedlając się na pomorzu, w okolicy Paranagua, prosząc nas zarazem, abyśmy skłonili ich do zaniechania wyjazdu do Curytyby, gdzie ich ma czekać głód i nędza.

Rzecz cała polega jednak na tem, że żyzne, lecz niezdrów pomorze nie może znaleźć rąk roboczych do uprawy kawy i trzciny cukrowej, a 6 milionów milreisów, wydanych przez rząd prowincji na zaludnienie tej okolicy przez wychodźców włoskich, utonęło bez śladu, większość bowiem osadników kolonie sobie nadane porzuciła. Nadto pan naczelnik posiada własne grunta, które radby komisji kolonizacyjnej odprzedać, a przyjaciel jego posiada fazendę, potrzebującą robotników; werbunkiem ich trudni się polak tłumacz, który w Europie z pewnością siedziałby już dawno w kryminale. Tłumacz ten jest panem samowładnym, nikt bowiem z urzędników z polakami rozmówić się nie jest w stanie.

Emigranci żalą się, że ich, pomimo oporu, gwałtem chciano wywieźć na fazendę kawową, a tłumacz skutecznie usiłuje w nich wmówić, iż jesteśmy agentami rządowymi, pragnącymi ich zguby i płatnymi od głowy za namawianie do wyjazdu w głąb prowincji. Na szczęście emigranci, których zaufanie, zwłaszcza p. Hempel, znający doskonale Płockie zjadł większość ich pochodzi. Zjednać zdołaliśmy, nie chcą go słuchać i uparcie żądają jaknajrychlejszego odstąpienia do Curytyby“.

Z KRAJU.

Prasa prowincjonalna. — Spóźnione pożary. — Hojna ofiara. — Obo wiązek obywatelski czy dobry interes.

Zamieszczony w *Wiek* artykuł o prasie prowincjonalnej poruszył wszystkie jej organy. Pochwalona *Gazeta radomska* przedrukowała tylko pochlebne zdanie o sobie, skarciona, zresztą bardzo względnie, *Gazeta lubelska* wystąpiła z repliką w obronie własnej. Nieraz już i warszawskie i prowincjonalne pisma rozprawiły o zadaniach prasy miejscowej, bez skutku jednak, bo każdą próbę przejścia z dziedziny ogólników do krytyki,

opartej na przykładach, uważano niemal za napaść osobistą. Dyskusja przechodziła w polemikę, zaprawioną goryczą. I teraz *Gazeta lubelska* czuje się mocno obrażoną, traci więc równowagę umysłową i wymaga, żeby pisma warszawskie dawały z zasady prasie prowincjonalnej „poparcie na każdym miejscu i w każdej chwili“. Jakież to są takie szczególne zasługi prasy prowincjonalnej, żeby ją bezwzględnie popierać należało? A no, tego zapewne nawet redaktorowie pism prowincjonalnych objaśnić nie potrafią.

Zwyczajnym u nas manewrem, kiedy ktoś nie wie, co na krytykę odpowiedzieć, jest zarzucanie przeciwnikowi, że nie zna stosunków, o których pisze. Często słyszeć można takie zdania: ludzie, którzy siedzą w mieście, nie mogą mieć pojęcia o sprawach wiejskich; ludzie, którzy mieszkają w Warszawie, nie mogą mieć pojęcia o stosunkach prowincjonalnych. Tyle w tem słuszności, ile w twierdzeniu, że geograf musi być koniecznie podróżnikiem i zwiedzać wszystkie te kraje, o których pisze. A astronom powinien chyba mieszkając kolejno na księżycu, Marsie, Wenerze, przemieszczać się z planety na planetę, z gwiazdy na gwiazdę. Inaczej nie będzie znał dokładnie „stosunków niebieskich“. Dziwna rzecz, iż wszyscy ci, którzy utrzymują że mieszkaniec Warszawy nie może znać stosunków prowincjonalnych lub spraw wiejskich, rozprawiają wcale trafnie o stosunkach politycznych obcych krajów, chociaż ani krajów tych nie zwiedzali, ani politykami z zawodu nie byli. Zresztą o „warunkach miejscowych“ sędzić można z treści pism miejscowych, a ta nie wskazuje bynajmniej, że są one „wyjątkowe“, przeciwnie o niektórych dziennikach prowincjonalnych można powiedzieć, że wychodzą w warunkach wcale pomysłnych.

Nie wypada zaglądać do cudzej kasy, ale trudno, doprawdy, uwierzyć, że *Gazeta lubelska* nie daje tyle nawet dochodu, aby można było „średnio“ opłacić jednego człowieka, „który oprócz pełnienia obowiązku faktycznego redaktora i reportera jest korektorem a w części metrampażem nawet“. Połowę numeru zazwyczaj zajmują w *Gazecie* ogłoszenia, a musi mieć przecież kilkaset płatnych prenumeratorów, kosztuje zaś dosyć drogo, bo sześć rubli rocznie. Nie wiem, kto jest obecnie faktycznym redaktorem, ale domyślam się, że nie musi być on chyba wydawcą pisma, a to wiele objaśnia. *Gazeta radomska*, która jest jeżeli nie najlepiej, to najżywiej, najstaranniej prowadzonym piśmie na prowincji, ma redaktora i wydawcę fachowego literata i zapewne nie wszystkim, ale jednak nieraz płaci współpracownikom honoraryja. Koledzy prowincjonalni, którzy utyskują nad szupłym swym budżetem, sądzą jednocześnie, że pisma warszawskie „hojnie“ płacą, grzesząc nieznajomością naszych stosunków. Z wyjątkiem kilku pism dobrze uposażonych, reszta ledwie na pokrycie niezbędnych wydatków fundusze posiada. Numery *Gazety lubelskiej* z całego tygodnia zawierają tekstu około 12 stronie mniejszego formatu, aniżeli większość tygodników warszawskich, które przecie bardzo mało przedrukowują albo wcale przedruków nie dają a z pewnością nie wiele więcej na honoraryja wydać mogą, aniżeli np. *Gazeta lubelska*.

Pisma prowincjonalne nie potrzebują zresztą troszczyć się o zalety literackie, ale powinny stać się ogniskami życia umysłowego i społecznego miasta i okolicy. Jeżeli warunkowi temu nie czynią zadość, tracą zupełnie rację bytu. Bo po cóż czytać radomską, lubelską, lub kaliską kopiję dziennika warszawskiego, kiedy można mieć za te same pieniądze oryginał. Wiadomości brukowe mogą być ciekawe dla miejscowych czytelników, ale przecie żadnego poważnego znaczenia nie mają i dla nich wydawać pisma nie warto.

Z pism naszych jedna *Gazeta radomska* stara się poniekać o to, żeby stać się takim ogniskiem życia umysłowego i społecznego. Stara się, ale nie jest, w każdym razie przynajmniej widać, że się rusza, że żyje, *Tydzień* piotrkowski, najlepiej może ze wszystkich pism prowadzony, przedstawia typ inny, jest on wyborem źródłem informacyjnym nietylko, a raczej nie tyle dla miejscowych, ile raczej dla ogółu czytelników, zwłaszcza dla ludzi interesujących się sprawami społecznymi i stosunkami robotniczymi. *Kaliszczanin* obecnie nie posiada określonej fizyognomii, *Gazeta lubelska* zaś zbliża się zupełnie do typu pism warszawskich, z których stale przedrukowuje całe artykuły. Rozumie się w Lublinie, równie dobrze jak w Warszawie, można wydawać pismo ogólne, dla szerszego koła czytelników przeznaczone, bodaj najlepsze ga-

zety niemieckie wychodzą w miastach prowincjonalnych. Dzisiaj w *Gazecie „lubelskiej“* są tylko wiadomości brukowe i nieliczne korespondencje. Można to pozostawić, ale jednocześnie trzeba rozszerzyć inne działy i wystąpić do współzawodnictwa z pismami warszawskimi lub zmienić gruntownie charakter pisma, bo takie, jak dzisiejsza *Gazeta* przy najstaranniejszym prowadzeniu, przy najlepszych chęciach, których kierownikowi jej odmówić trudno, nie może się rozwijać, ani należytego pożytku przynosić. Zmiana taka zapewne dochodów pisma nie powiększy, ale przynajmniej czytelnikom da korzyść a redakcyi moralne zadowolenie. W każdym niemal numerze *Gazety radomskiej* czytamy o jakimś projekcie, o jakimś przedsięwzięciu, podjętem przez redakcyję pisma lub redaktora. Nie wiem, czy p. Wróblewski zawsze postępuje tak, jak należy, wątpię nawet o tem, ale widzę, że się rusza, że coś robi, że *Gazeta* jego może istotnie interesować czytelników miejscowych, którzy kłócą się z nią nieraz, wymyślają na nią, co jest w każdym rzędzie lepszem od sennej apatii...

Lato tegoroczne pod jednym względem było pomyslnie, mianowicie rzadziej, aniżeli zwykle, zdarzały się pożary. O wielkich pogorzeliach nie było słyhać — do jesieni, teraz bowiem są równie częste, jak w innych latach w sezonie pożarowym. W jednej tylko gubernii radomskiej w krótkim stonkowo przeciągu czasu spłonęły trzy miasteczka: Wąchock, Iwaniska i Raków, z dodatkiem jednej wsi, do której wiatr o wiorstę odległości przyniósł zarzewie. Pożarów w wioskach zaznaczać nie podobna, w każdym niemal numerze pism miejscowych znaleźć można tego rodzaju wiadomości.

Pożary w roku bieżącym są straszniejszą klęską, aniżeli w latach normalnych, tymbardziej pożary w jesieni, kiedy już szczupłe zbiory leżą w stodołach. Pogorzeli nie mogą liczyć na pomoc sąsiadów, bo każdy z bojaźnią rachuje, czy aby przednówek przetrzyma. Oto np. w gubernii lubelskiej spaliła się wieś Zagrody prawie doszczętnie, bo ogień pochłonął 23 domy mieszkalne i 65 budynków gospodarskich, w których znajdował się całkowity zbiór tegoroczny zboża, należący do 37 rodzin włościańskich. „Większości mieszkańców stanowczo zagraża głód“ pisze *Gazeta lubelska*, bo kartofle zupełnie prawie przepadły. Sąsiedzi-włościanie z całej gminy, liczącej 400 gospodarzy, złożyli dla pogorzalców 5 kóp żyta w snopkach i dwa korce w ziarnie. Zdaje się, że wobec lichych zbiorów, które bodaj czy do nowego zboża wystarczą, trudno wymagać od ludzi niezamożnych dużej ofiary. *Gazeta* jednak, mówiąc o składce na pogorzalców, zaznacza, że włościanie złożyli „zaledwie“ i t. d. Nie dodaje zaś tego przysłówka do ofiary okolicznych obywateli, którzy nie okazali się hojniejszymi, bo złożyli 9 korey zboża. Na szczęście dla zagrodzian znalazła się w sąsiedztwie osoba litościwa, p. Wessłowa i dała im 500 rs. zapomogi, a proboszcz miejscowy 50 rubli.

Tym szczerym ofiarodawcom, którzy w całej okolicy aż na 9 korey zboża się zdobyli, prasa gwałtem chce narzucić obowiązek wspierania w tym ciężkim roku ludności wyrobniczej, „która wyłącznej uwadze ziemian w powyższym względzie poleconą być winna i od nich przedewszystkiem spodziewać się może pomocy“.

Tak powiada p. „Rolnik“ w *Kuryjerze codziennym* i wzywa innych rolników, żeby w tym celu rozpoczęli roboty melioracyjne. „Spodziewać się należy“, pisze dalej, „że wobec wyjątkowych warunków, tego ze wszechmiar anormalnego roku, wobec nędzy, grożącej najbardziej z pracy rąk żyjącej ludności wiejskiej, wszyscy ziemianie odczuwają ciężące na nich obowiązki, a ograniczywszy osobiste wydatki do najkonieczniejszych, zdobyte tą drogą oszczędności, całkowicie przeznaczyć zechcą na ulepszenia w majątkach, dające bezpośrednio zarobek biednej ludności wyrobniczej“... „Przy dobrych chęciach nieledwie każdy mniej lub więcej odłożyć może na cel powyższy... Będzie to podwójnie dobry i obywatelski uczynek: dostarczenie niezbędnie potrzebującym zarobku i dołożenie cegiełki do rozwoju i podniesienia gospodarstwa rolnego“.

Gładko i sympatycznie pisze p. Rolnik, z czego wnoszę, że należy on do tych poczciwych idealistów, których dawno już Towarzystwo kredytowe lub wierzyciele wyrzucili na bruk miejski — i nie zna swych ex-sąsiadów, co dotychczas pozostali na roli. Ci przedewszystkiem o żadnych obowiązkach wiedzieć nie chcą i jeżeli nawet melioracje zalecane podejmą, to dla tego jedynie, że będą mogli taniej dostać robotnika. Nie mają oni zazwyczaj pojęcia

o ekonomii politycznej, ale czują pismo nosem, że każdy przedsiębiorca starać się powinien jak najtaniej nabyć pracę i jak najskuteczniej ją wyzyskać. Wierzę iż są tacy, co jak pisze p. „Rolnik“, dodają w tym roku parobkom połowę pobieranej normalnie ordynaryi lub sprzedają im zboże i kartofle po cenach zeszłorocznych, lub wreszcie podwyższają płacę. Do takiego postępowania nie potrzeba nawet zachęty filantropijnej, każdy porządny gospodarz wykazuje, rozumie się w pewnych granicach, dbałość o robotnika stałego, jak troszczy się też o dobre utrzymanie inwentarza roboczego. Są wreszcie wyjątki, być może nawet względnie dosyć liczne, które działają tak istotnie z pobudek szlachetniejszych.

Jednocześnie wszakże z wielu stron kraju dochodzą wiadomości, zaznaczone już w prasie, że obywatele ziemscy zmniejszają liczbę służby, lub od Nowego Roku zmniejszyć mają. Wiemy o tem, że w wielu okolicach ci, których p. „Rolnik“ gwałtem chce pasować na urodzonych opiekunów biednej ludności wiejskiej, ci „patres patriae“, zbierali np. kartofle, jeżeli można tak powiedzieć, „brachio militari“. Wiemy o tem, że w innej okolicy obywatele prześladować zaczęli księdza za to, że o 5 kopiejek podwyższył robotnikom zapłatę przy kopaniu, widząc, iż robota idzie bardzo ciężko. Szlachcice w Warszawie lub nawet na wsi w rozmowie z ludźmi, zajmującymi odmienne stanowisko społeczne, przedstawia się zupełnie inaczej, aniżeli w roli przedsiębiorcy, gospodarza wiejskiego. Sądzę, że wielu nie zdaje sobie nawet sprawy ze swego postępowania, które na każdym niemal kroku sprzeczne jest z tem, co mówią. a co myślą, co czują, kiedy szrząc z siebie skórę gospodarską i ukazując się w ludzkiej postaci. Ci, co ich tylko w tej postaci widują, żywią nadzieję, że wzmówią w nich „obowiązek obywatelski“. A tacy jeszcze, którzy chociaż na chwilę ulegają metamorfozie, to przecie sól ziemi, są zaś inni i tych daleko więcej, dla których interes gospodarski wszędzie i we wszystkim jest jedyną wskazówką postępowania.

Nie chciwość, a przynajmniej nie zawsze chciwość objaśnia takie postępowanie, ale brak poczucia obywatelskiego, brak wyrobienia etycznego, wreszcie brak niezależnej opinii publicznej, gdy tymczasem opinia sąsiadów i towarzyszy zawodu nietylko z win takich rozgrzesza, ale nawet jako cnoty je zaleca. Szlachcice, który dla oszczędzenia kilkudziesięciu rubli w gospodarstwie popełni, łagodnie chociaż niedelikatnie mówiąc, świństwo, nie pożałuje potem pieniędzy i da dwa razy nawet więcej na jakiś cel publiczny, może nawet na tych biedaków, których sam ogłodził. Chcecie wiedzieć, jakim jest obywatel ziemski na wsi, w gospodarstwie, to nie sądzcie z rozmowy i z obcowania z nim, ale zapytajcie ludzi, którzy stosunki wiejskie najlepiej znają, na których zdaniu polegać można, bo nie są osobiście zainteresowani, zapytajcie księży nauczycieli i t. p. Od nich dowiedziecie się, w jaki sposób korzystają właściciele ziemscy z obecnego położenia ludności wiejskiej tam, gdzie zboże nie obrodziło, gdzie kartofle przepadły, w jaki sposób spełniają oni „obowiązek obywatelski“...

Zgoda na to, że melioracje gospodarze mogą być najskuteczniejszym środkiem zapewnienia zarobku ubogiej ludności wiejskiej, o ile na roboty publiczne rachować nie można. Zachęcajcie do podjęcia melioracji, owszem, tylko mniej mówcie o obowiązku moralnym, a więcej o dobrym interesie, o możności znalezienia taniego robotnika — wtedy znajdziecie chętniejszych słuchaczy. Może chociaż ci, których jeden obywatel dla oszczędności ze służby wywali, znajdą u drugiego jaki taki zarobek.

J. Nieborski.

Korespondencje „Głosu“.

Z lewego brzegu Wisły.

Przyczynek do kwestyi dobrobytu włościańskiego.

Materiałne położenie naszego ludu w rozmaitych okolicach kraju jest bardzo różne, a zależy ono w pierwszym rzędzie od warunków geograficznych i wogóle fizycznych, w jakich dana miejscowość się znajduje, a więc od jakości gruntów i pastwisk, bliskości rzek, lasów itp. Zależność ta jest tem większą, iż wskutek braku oświaty włościanie nasi nie znają środków do walki z naturą, jak to ma miejsce w krajach o wyższej kulturze.

Pragniemy tutaj zapoznać czytelnika z jednym z zakątków nadwiślańskiej okolicy, w którym wpływ przyrodzonych warunków szczególnie niekorzystnie oddziałają na byt włościanina. Na lewym brzegu Wisły, wprost starożytnego miasta Płocka ścięte się szereg wiosek rybackich.

Już samo położenie ich nad brzegiem rzeki czyni pod wielu względami ciężkim ich życie. Wiosenne wylewy robią wielkie szkody w ich gruntach, pokrywając piękną ziemię, doskonale rodzącą pszenicę, grubą warstwą piasku, tam szczególnie, gdzie nad brzegiem Wisły las został wycięty, a, niestety, miejsc takich jest u nas coraz więcej. Przytem bliskość rzeki i jej wylewy mają niekorzystny wpływ na zdrowie mieszkańców: płucne choroby, bóle gardła są bardzo rozpowszechnione zarówno u dorosłych, jak i u dzieci.

W takich to warunkach znajdują się wioski, o których mówić zamierzamy.

Wieś *Tokary* leży na lewym brzegu Wisły w gubernii Warszawskiej, o milę od Płocka; liczy ona 146 mórg gruntu, na których siedzi 14 gospodarzy. Każdy z nich jest właścicielem ziemi, mianowicie 6 ma po 16 mórg, a 8 po 5—6 mórg, ale położenie ich jest nielepsze od włościanina bezrolnego, bowiem ziemia nie przynosi im żadnych korzyści; powiemy tylko, że ze 146 mórg 121 (!) — to szczyt piasek. Komisya podatkowa, która w tym roku zjechała do Tokar, tylko 25 mórg opodatkowała, uznając resztę gruntu za nieprodukcyjną. Lat temu dziesięć ziemia ta rodziła doskonałą pszenicę, ale od czasu wycięcia drzew nad Wisłą wylewy zmieniły ją w jedno piaszczyste morze, z którym chłop nasz w warunkach, w jakich się teraz znajduje, to jest bez wszelkiej pomocy moralnej i materyjalnej, dać sobie rady nie może.

To też nędza ponuje tu wielką, włościanie nie mają pańnika, ani opału, gdyż praw serwitutowych pozbyli się wzamian za ową ziemię, nie mają też dostatecznej ilości kartofli dla utrzymania rodziny. Bogactwo ich to krowa, za którą jeszcze trzeba opłacać 6 rs. rocznie, aby się miała gdzie paść, trochę kur; kilku gospodarzy (4) posiada po jednym koniu — oto cała chudoba włościanina tokarskiego. Jedyną pomoc uboczną, jaką mają tutejsi włościanie — to chodzenie na zarobki do sąsiednich folwarków; to też latem mężczyzn we wsi nie zobaczysz: wszyscy pracują po za obrębem swej wioski. Ale taka przypadkowa praca trwa nieraz krótko i rodzina znów pozostaje w jaknajwiększej nędzy. Czyżby żadnej rady nie było na oplakane położenie włościanina tokarskiego? Owszem, rada jest, podają ją nawet sami włościanie.

Pierwsza rada, to zasadzenie drzew nad brzegiem rzeki, co zapobiegłoby niszczeniu gruntów przez Wisłę; wierzbina na piaskach przyjmuje się doskonale; niemcy koloniści, mający też tu grunta, tylko w ten sposób chronią swe pola od wylewów; ale na to potrzeba pieniędzy, choć niewielkiego nakładu, a włościanin tokarski żadnych środków nie posiada. Druga rada, to zasiewanie na piaskach łąbinu, który, jak to sami włościanie stwierdzają, rodzi się u nich obficie, a wiadomo, jak łąbin poprawia znakomicie grunta i jak jest wielką pomocą w gospodarstwie rolnem. Ale i tego zrobić nie może nasz włościanin, nie mając funduszu.

Jeden z włościan opowiadał mi, że po całych nocach nie sypia, tylko myśli, jak wyrwać rodzinę z nędzy, która ich trapi od lat kilku i jedyną radę widzi w sadzeniu wierzb, ale na to potrzebuje aż trzech rubli (sic!), a niema ich zkad wziąć, bo co zarobi, to wyda na zakup kartofli, pożywienie dla krowy! I oto dla braku trzech rubli gospodarstwo całe musi się marnować i rodzina ginąć. Co za okropna ironija losu: setki rubli idą na piękne konie wysięgowe uwieńczenie woltyżerek, a choćby i na nieprodukcyjną częścią filantropiję, podczas gdy tak małe wkłady mogłyby z lichwą zwrócić włożone fundusze.

Niemcy, znajdujący się w zupełnie identycznych warunkach zewnętrznych, o miedzę od wsi, o której mowa, mają się świetnie; ogromne sady przynoszą im do 800 rs. rocznego dochodu, a nabiątu produkują tak znaczną ilość, że wysyłają go nietylko do Płocka, ale do Warszawy i Łodzi. Ale też, gdy niezamożny niemiec przychodzi w te strony, zaraz mu jego rodacy przychodzą z pomocą i udzielają pożyczek na pierwsze gospodarskie potrzeby. A wieś tokarską mogłyby uszczęśliwić tak niewielkie wkłady: na zasiew łąbinu i na wierzbine!

Naturalnie, że na podniesienie dobrobytu i wiele więcej środków by się znalazło: krzewienie sadownictwa, przemysłu drobnego, ale te o których wyżej wspomnieliśmy, są dla nich najnaglejsze.

Obok wsi Tokar znajduje się druga wieś *Młyny*, licząca chat 14; warunki materyjalne tu niemniej są ciężkie. Mieszkańcy wcale gruntów nie mają, gdyż z dawien dawna siedzą tu jako młynarze-rzemieśnicy, na prawach niegdyś czynszowych, w posiadaniu tylko chaty i małego ogródka. Dawniej, jako właściciele młynów, mieli się dobrze, w obecnej chwili jednak pozbawieni zostali tego środka zarobku. Jeszcze w r. 1835 wyszło rozporządzenie o kasowaniu młynów, jako szkodzących żegludze, mieszkańcy jednak zdołali utrzymać je aż do r. 1887; od tego czasu położenie ludności stało się bardzo ciężkie, stracili bowiem jedyny sposób zarobkowania. To też w Młynach spotyka się ciągle mężczyzn w sile wieku, beczynnie po całych dniach siedzących. Nie przestają oni wierzyć, że młyny jeszcze przywrócone zostaną, bo, jak twierdzą, statki nie młyny psują brzegi i przedewszystkiem statki należałoby skasować. Nietylko gruntów nie posiadają, ale i krowy nie każdy może trzymać, gdyż za paśnik płacić trzeba po 6 rs. od krowy rocznie. Położenie istotnie bez wyjścia, pozostaje więc chyba jedno — porzucić chatę i iść w świat daleki — o czem ten i ów nawet wspomina, ale na to zdecydować się nie tak łatwo. Jedyny zarobek, na który liczyć mogą, to rybołówstwo, ale i to daje małe korzyści. Prawo łowienia dzierzawi od właściciela gruntu za 100 rs. dwóch właścicieli zamożniejszych; ci mają zarobek większy, reszta poddzierzawia od nich tylko prawo łowienia sznurem, co przynosi każdemu za ledwie po kilkanaście rubli rocznie. Położenie ich jest tem gorsze, że rodziny są liczne, po 7-ro i 9-ro dzieci liczą niektóre. O ile stan ludu materyjalny jest smutny, o tyle pod względem moralnym i umysłowym korzystnie wyróżniają się od przeciętnego typu naszego włościanina: czytać i pisać umieją prawie wszyscy, książki, o ile bez kupowania mają sposobność je dostać, czytają chętnie; najbardziej trafiają im do przekonania kalendarze i wszelkie praktyczne książeczki, jak o „Łubinie“, „Ratowanie bydła odętego“, „Sad przy chacie“ itd., jak gdyby szukali w nich rady na swoją biedę. Także bardzo im się podobała książeczka „O Wiśle“ Krynickiego, którą sobie poprostu z rąk do rąk wyrwali. Materyjał to więc bardzo podatny do przyjęcia wpływu, trzeba tylko by się niemi zainteresował ktoś kompetentny, ktoby im wskazał pole nowe do pracy.

Ponieważ jest to ludność bezrolna, nie posiadająca ani ziemi, ani pastwiska, najodpowiedniejszym przeto środkiem zarobkowania byłyby dla nich przemysł domowy; należałoby więc przedewszystkiem zbadać jaka gałąź przemysłu mogłaby mieć tu widoki. Ze względu na materyjał surowy, który otrzymywać można w danej miejscowości i na łatwość zbytu — największe widoki powodzenia mogłoby mieć — *koszykarstwo*. Wielkilość wikliny, rosnącej nad brzegiem Wisły, łatwość komunikacji wodnej, bliskość dużych miast Płocka, Włocławka i Warszawy, jakoteż ognisk fabrycznych, jak Soczewki, Duninowa, Samnik, wszystkie warunki te sprzyjają rozwojowi przemysłu wogóle i koszykarstwa w szczególności. Zresztą pewną wskazówką pod tym względem mogą być dla nas nieucy, którzy w tych stronach w Włocławku, pod Czerwińskiem zajmują się wyrobem koszyków na dużą skalę.

Że zaprowadzenie jakiegokolwiek z gałęzi przemysłu dla ludności w Młynach byłoby wielką dźwignią, nie potrzebujemy tego dowodzić, dosyć gdy powołamy się na przykłady żywe, które zawsze więcej mówią, niż wszelka teoria, że całe okręgi w guberniach środkowej Rosji i w Czechach jedynie z przemysłu drobnego się utrzymują i nieźle im się wiedzie; dla naszego też bezrolnego włościanina w tym przemyśle jedyny jest ratunek.

J. z Seczawńskich Dawidowa.

Radom.

Kilka słów o wydawnictwach dla rzemieślników.

W n-rze 43-im *Głosu* w artykule p. t. „Nałóg kastowy“ poruszoną została nader żywotna sprawa czytelnictwa w warstwach rzemieślniczych i robotniczych, oraz popularyzowania arcydzieł literatury ojczystej i obcej za pośrednictwem wydań takich.

Jako interesowany w sprawie czytelnictwa, przeczytałem artykuł ów z wielką ciekawością i przyszanowaniem, że wszystkie teoretyczne wnioski szanownego autora artykułu znajdują potwierdzenie zupełne w praktyce...

Zarządzając czytelnią bezpłatną w Radomiu, od chwili jej zapoczątkowania, w ciągu lat trzech

miałem sposobność poznać gust, upodobania i dążności czytelników z warstw rzemieślniczej i robotniczej naszego miasta. Przed otwarciem czytelnicy nieraz debatowali nad tem, jakie dzieła przyjmować do księgozbioru, jakich zaś nie dopuszczać do rąk czytelników.

Dawały się słyszeć zdania, iż czytelnia powinna zawierać i wydawać wszelkie dzieła, bez żadnego wyboru, że zadaniem jej jest wytworzyć potrzebę czytania w masach i odciągnąć w ten sposób od knajpy lub burd. „Niema tak złej książki, z którejby się czegoś nie można było nauczyć. Niech czyta, co chce, byle czytał, a nie lampartował się“... rzdził ten, lub ów. Nie uznawaliśmy podobnej metody za właściwą, lecz z drugiej strony, ze względów praktycznych: ściśle oznaczonego czasu na wydawanie książek i wielu za potrzebowań na raz, nie podobna było myśleć o systematycznym kształceniu umysłu każdego z czytelników za pomocą wybierania odpowiednich dzieł. Usunięto zatem z czytelni dzieła, szkodliwie oddziaływające na wyobraźnię czytelników, takich pisarzy, jak: Sue, Montepin, Zola, Gaboriau, Ponson du Terrail, Kock i t. p., utwory nieodpowiednie dla umysłów niewykształconych poznaczano na oprawie w sposób ostrzegający, dzieła dla młodzieży poznaczano również w sposób odpowiedni; po za tem każdemu pozostawiono swobodny wybór książek.

Niektórzy z czytelników prosili z początku wydających książki o wybranie dla nich książek; wtedy to okazała się nieumiejętność nasza trafiania do gustu. Spory zastęp naszego zbioru stanowiły wydawnictwa Promyka, które od dawna cieszyły się wziętością wśród ludu; te-to dziełka spróbowałem dawać młodzieży i czytelnikom, proszącym mnie o wybór.

13-letni uczestnik zwrócił mi książeczkę dla ludu z uwagą, iż jest „za dziecinna“ i napisana „za prostym stylem“, nie tak, jak u nas mówią. Przeróbek ani skróceń z powieści najbardziej nawet poczytnych czytelnicy moi nie lubią, prosząc o same ich oryginały. Niektórzy autorowie, popularyzując rozmaite gałęzie wiedzy ludzkiej, lubią uciekać się do fantazyi, naukowe dane oprawiając w sukienkę bajki; czytelnikom z warstw wymienionych nie podoba się to wcale. „Doktor Mucholąpski“ — podług nich — to „bajka“, a nie dając wiary przemianom doktora w liliputa, uważają za zmyślone również wszystkie ciekawe i pouczające fakty z życia owadów.

Każdemu z ludzi mniej obytych w świecie podoba się to, co mu imponuje czemkolwiek. Dlatego też rzemieślnicy wolą czytać powieść, nawet na kanwie zupełnie im obcej, bodaj naszpikowaną wyrażeniami, nie zrozumiałymi dla nich, byle styl był barwny, podniosły, a fabuła interesująca, na tle bohaterstwa osnuta. I tu zastrzedz należy, iż wszelkim niezwykłym wypadkom, powikłaniom i nadzwyczajnościom czytelnicy z tych warstw dają chętnie wiarę, o ile one rozgrywają się w dalekiej przeszłości. Współczesny autor „nie weźmie“ ich na to: „Baniałuki! albo to prawda! przecież patrzyni i nic podobnego nie widzimy w życiu“... Obrazek z ich życia, najwierniej skopijowany, nie zajmie ich, sparodyjowany — oburzy i zniechęci do czytania. Na scenie wolą widzieć rzemieślników postępowych, uszlachetnionych, niż „typowych“ (?) pijaków w rodzaju nieśmiertelnego Szaruckiego z „Majstra i czeladnika“. Czyż można im brać to za złe. Miejscowy rzemieślnik-słusarz, p. Alfons Gębicki napisał sztukę 5-o aktową p. t. „Nowe prądy“ i ofiarował ją na rzecz czytelni naszej. W sztuce tej bohater-stolarz studjuje pilnie naukę rysunków, aby mieć pojęcie o wymiarze i robotach stylowych, czyta Smilesa i naszych koryfuszów piśmiennictwa, oświeca braci swoją na małej prowincyi, zakłada spółkową fabrykę, zwiększając dobrobyt swój i innych...

Dawno nie znalazłem tylu zdrowych myśli w dziełkach i broszurkach, pisanych dla rzemieślników, co w tej komedyi — rzemieślnika... Styl w niej naturalny, nie robiony, tam tylko, gdzie występują rzemieślnicy „zacołafney“ — trywialny. Radziłbym panom, zamierzającym napisać cokolwiek dla rzemieślników, przeczytać wpraw, jak pisze rzemieślnik. Nauczy ich to niejednej rzeczy. Pisząc, powinni myśleć przedewszystkiem, aby ich dzieło było interesującym samo przez się, bez nalepiania etykiety „dla rzemieślników“... Niech się nie boją, że ich nie zrozumieją, powiedzielibyśmy nawet, że to lepiej, gdy tu i owdzie znajdzie się wyraz niezrozumiały, byle estetyczny i prawidłowo użyty. Rzemieślnik lub robotnik z pewnością poinformuje się o znaczeniu niezrozumiałych dlań wyrazów, za-

pamięta je i zyska tylko na tem... Nie naginać się do wysławiania się gminu, ale właśnie gmin na-giąć do wysławiania się pięknego — oto zadanie pi-szących.

W ciągu 3-ech lat ubiegłych stale i niezmiennie w czytelni naszej jest najbardziej poczytnym Kraszewski (co potwierdza zdanie p. Popławskiego o identycznych upodobaniach inteligencji z przed lat 40 i dzisiejszych rzemieślników), Sienkiewicz, Korzeniowski, Zacharyjasiewicz, Bałucki, potem Jeż, Prus, Szymański; z obcych: Jokai, Cooper, Mayne-Reid, Smiles...

Gdyby mi wolno było zdradzać tajemnicę czytelnictwa w Radomiu, dowiodłbym szczegółowo, co dziś zaznaczam jedynie, iż gust czytelników ze sfery rzemieślniczej i robotniczej odznacza się smakiem, stałością, konsekwencyją, uporem — bodaj nawet (niektórzy po za Kraszewskim i Sienkiewiczem nie chcą słyszeć o nikim) i krytycyzmem, gust zaś t. zw. inteligencji a zwłaszcza kobiet — przeważnie bezładem, „leceniem na tytuły“...

W nadziei, iż kilka tych słów, podyktowanych przez życzliwość dla sprawy czytelnictwa a nakreślonych na podstawie obserwacji, przyczynią się do ożywienia kwestyi tak ważnej, upraszam redakcyję o umieszczenie ich w *Głosie*.

Zarządzający czytelnią bezpłatną.
Karol Hoffman.

Przegląd społeczny.

Łódź. (Kor. „Głosu“). W mieście naszym poruszono niejednokrotnie projekt założenia czytelni bezpłatnej na wzór istniejących bądź w Radomiu, bądź przy ochronkach w Warszawie. Dotychczasowe jednak starania nie osiągnęły żadnego rezultatu. Obecnie grono inteligencji miejscowej poruszyło kwestyję powyższą na nowo i zamierza wystąpić ze zbiorowem podaniem do towarzystwa dobroczynności, prosząc o wyjednanie u władz odnośnych pozwolenia na otwarcie czytelni przy towarzystwie. Łódź, licząca około 100,000 ubogiej ludności robotniczej i będąca po Warszawie największem miastem w Królestwie, pozbawioną jest zupełnie jakiegokolwiek biblioteki lub czytelni, przystępnej dla biednych mieszkańców miasta. „Robotnik, mówi podanie, któremu skromne środki pieniężne nie pozwalają na prenumerowanie lub kupowanie książek, pomimo woli zmuszony jest nieraz szukać rozrywki po za domem; otworem jednak dla niego stoi tylko szynk lub złe towarzystwo“. „Zważywszy, mówi dalej podanie, iż uprzyświelenie robotnikom szlachetnych rozrywek jest dla miasta narzęczą rzeczą bardzo pilną, oraz że miasta mniejsze od Łodzi, jak np. Radom, potrafiły zadosyć uczynić tej palącej potrzebie, prosimy szanowny zarząd łódzkiego chrześcijańskiego towarzystwa dobroczynności, aby zechciał przyjąć na siebie inicjatywę w założeniu przy ochronkach oraz miejscach wydawania wsparć tygodniowych bezpłatnych bibliotek dla ubogiej ludności i t. d. „Spodziewać się należy, iż łódzkie towarzystwo dobroczynności sprawą tak ważną dla naszego miasta gorliwie zająć się nie omisszka. Trzeci teatr rozpoczął przedstawienia w naszym mieście. jest nim trupa p. Szymborskiego, który postanowił pozostać przez całą zimę w Łodzi i dawać przedstawienia w zimowej sali teatru Selina. Rachuby swoje p. Szymborski opiera na poparciu przez uboższe warstwy ludności naszego miasta, do wymagań której zastosowuje rodzaj sztuk granych oraz ceny miejsc wielce niższe. Prócz tego właściciel teatru p. Selin gwarantuje artystom część gaży umówionej. Czy rachuby p. Szymborskiego ziszczą się choć w części — nie wiemy; to pewna tylko, iż na pierwszych przedstawieniach pustki były w sli, a ciężkie czasy obecnie nie wpłyną chyba pomyślnie na uczęszczanie ubogiej ludności do teatru. Próby podobne czynione były w roku zeszłym przez teatr Wiktoryja i po dwóch przedstawieniach świątecznych, wyłącznie dla warstw niższych zastosowanych, z powodu zupełnych pustek w teatrze zostały zaniecane. Wobec drożyzny tegorocznej kilka fabryk tutejszych postanowiło poczynić znaczne zakupy mąki i kartofli w celu sprzedawania ich robotnikom po cenie kosztu lub niżej. Na straty mogące z tego wyniknąć firma Scheiblera wyznacza 20,000 rubli. Firma Geyera sprzedaje robotnikom chleb po cenie 4 kopiejki za funt. Byłoby wielce pożądanem, aby inne fabryki uczyniły to samo i przyszyły z pomocą zagrożonym głodem swoim pracownikom. — W d. 23 b. m. odbyło się ogólne zebranie członków klubu cyklistów łódzkich, na którym dokonano wyborów na prezesa i członków komitetu oraz

odczytano sprawozdanie z działalności za rok ubiegły. Klub wzmiankowany istnieje lat pięć; liczy stu pięćdziesięciu członków. Przez ciąg swego istnienia zorganizował pięć wyścigów dorocznych, dziesięć balów publicznych, tyleż majówek i — nic więcej.

Lzar.

P. S. Jak donosi *Lodzer Zeitung*, kilkunastu lotrów, uzbrojonych w noże i rewolwery, napadło na dom Józefa Rudy, na ul. Jaszewskiej, i poraniło mniej lub więcej ciężko kilku mieszkańców tego domu i poturbowało dwóch strażników, którzy przybiegli na pomoc zagrożonym mieszkańcom. W ścianie jednego pokoju utkwiło około 20 kul rewolwerowych. Dopiero oddziałowi kozaków udało się ująć czterech złoczyńców: reszta ocalała się ucieczką.

Z nad Pilicy. (Kor. „Głosu“). Od paru tygodni mamy przepiękną pogodę, co pozwoliło nam bez gorączki wykopać ziemniaki, poobsiewać pola, posprzątać siano i t. d. — O ile przed rozpoczęciem żniw, słysząc alarmujące wieści o nieurodzaju w innych okolicach kraju i Cesarstwa, rolnicy nasi cieszyli się nadzieją otrzymania dobrych zbiorów i korzystnego ich zbycia, o tyle obecnie potracili miny, gdyż po dokonaniu próbnym okazało się, iż wydajność zboża w r. b. tak się ma do wydajności roku zeszłego, który przecież także nie imponował obfitością, jak 1:3. — Urodzaj kartofli w porównaniu z urodzajem w roku zeszłym wypadł jeszcze gorzej niż zboża. Jedynie okolice piaszczyste i wyżej położone otrzymały z tegorocznego zbioru normalną ilość zboża i kartofli, ta przewyżka wszakże nie zapełni braku, odczuwanego przez okolice sąsiednie. Rolnicy chłopcy w roku bieżącym nie będą mogli sprzedać zboża, którego, jak utrzymują, wystarczy zaledwie dla siebie na zasiew i przeżywanie, nie śpieszą się więc z „młócką“; niektórzy zamożniejsi na jesienne zasiewy kupowali zboże po wygórowanej cenie u obywateli ziemskich. Ci ostatni, naturalnie, coś niecoś będą mieli do zbycia, spodziewając się wszakże wyższych od dawniejszych cen na zboże, przyjęli pozycję wyczekującą i ze sprzedażą większych partij nie śpieszą. — Skutkiem nieurodzaju kartofli chłopcy wyprzedają za bezcen trzodę chlewną, co wszakże nie wpłynęło na niższą cenę wieprzowiny. — Wogóle ceny na produkty spożywcze są wygórowane. Okowita również podskoczyła w cenie znacznie (w magazynach i składach hurtowych po 12½ kop. za 1 stopień bezwodnego alkoholu), pomimo zmniejszenia się konsumpcji. — Chociaż nieurodzaj kartofli dotknął ogólnie kraj cały, niemniej jednak ilość wykopanych kartofli, choć skąpo, wystarczaby do nowego zbioru przy oględniejszem nieco ich użyciu. — Nie wszystkim zapewne wiadomo, a szczególnie tym, co to obliczyli, ile potrzebujemy kartofli, ile ich mamy i ile nam zabraknie, jak nieoszczędnie przyzwyczaili się obchodzić z kartoflami jak mniejsi, tak i więksi rolnicy nasi. Dość wziąć miarę z tego, że chłopcy gospodarze 12-0 morgowi miewają zwykle po 120 i więcej korcy kartofli, z których nie nie odprzedawali na stronę; część tych kartofli używali do sadzenia, resztę zaś jedli sami, karmili trzodę, drób, bydło i konie. W podobny sposób gospodarzyli kartoflami i obywatele ziemscy; nieliczni z nich przerabiali kartofle (zazwyczaj swoje tylko — tak dużo miewali) na okowitę. — Rok bieżący pod względem urodzaju kartofli wypadł bardzo niepomyślnie, paszy za to, jako to: siana, słomy i roślin pastewnych jest obfitość. Dobrze więc byłoby, ażeby używanie w latach normalnego urodzaju kartofli, jako paszy — z niewielką szkodą dla inwentarza i stratą dla gospodarstwa, zastąpić w bieżącym roku krytycznym inną paszą. Chłopcy w tym kierunku dali już inicjatywę (bez rozgłoszenia po pismach i nawoływania się wzajemnego), wyprzedając tanio świnie; zaprzestali również karmić kartoflami bydło i konie, dla nich zaś samych wystarczy tego, co zebrali. Zkąd jednak wezmą kartofli ci, co zazwyczaj kupują takowe. Dla tych właśnie powinni dostarczyć niezbędnej ilości więksi posiadacze rolni. Przedewszystkiem wszakże jako jeden ze środków pomocniczych byłby wielce pożądanym zakaz wywozu kartofli za granicę; następnie, w majątkach, posiadających gorzelnie, zakaz przerabiania na okowitę kartofli, nie pochodzących z majątku, w którym znajduje się gorzelnia; wreszcie zaś, jak to wyżej wspominałem, zaniechanie kartofli jako paszy dla inwentarza. Niektórzy posiadacze gorzelni, przewidując rychło większe zapotrzebowanie i zwykłą cen na okowitę, zamierzają sprowadzać kukurydzę dla przerobienia jej na alkohol, są również i tacy, którzy brak kartofli proponują zastąpić sprowadzaniem kasztanów z Włoch i ryżu z Egiptu, zdumieni są nawet swoimi pomysłami, jak ongi zdumiał kraj cały owy obywatel, co to brak paszy radził zastąpić zielonemi okularami dla wołów, postawionych

przy wiołach. — Utrzymuje się u nas pogłoska, że w celu obejścia prawa zakazu wywozu żyta za granicę, takowe wywożone jest całemi wozami niemiłocone; pogłoska ta, jak również druga o wywożeniu całemi wagonami chleba i sucharów żytnich są pewno nie zgodne z prawdą. — Z fabryki papieru w Wierbee w zeszłym tygodniu dla braku zajęcia wydano 16 robotników miejscowego pochodzenia. *Cerber.*

Radom (kor. „Głosu“). Radomskie towarzystwo dobroczynności otwiera 3 listopada tanią kuchnię dla biednych, w której porcja zupy z kawakiem chleba kosztować będzie 3 kop. Szkoła że kuchnia ta mieścić się ma w miejscu oddalonym od fabrycznej części miasta, wskutek czego biedniejsi wyrobownicy nie będą mogli z niej korzystać. — Obywatele tutejsi zamierzają zbierać składki na kupno dla biednych marek u piekarzy, za okazaniem których chleb będzie taniej sprzedawany. Funt chleba kosztuje obecnie tutaj 4 i pół kop. korzec kartofli rs. 2 kop. 30. — Dyrekcja tow. kr. ziems. ogłosiła na luty r. p. licytację 61 dóbr. — W gub. radomskiej znajdują się 6 szpitali (na 211 osób) i 8 ochron (z tych 2 dla dzieci). W szpitalach leczyło w r. 1890 do 3056 osób, zmarło 226, czyli 7,3%. Utrzymanie chorego kosztowało dziennie przeciętnie 48,6 kop. W ochronach znalazło przytułek 69 dorosłych i 43 dzieci. — Zatwierdzoną została ustawa towarzystwa spożywczego w mieście Iłża.

A. Sal.

Bendzin. (Kor. „Głosu“). 13 października r. b. na kolonii „Ksawera“ zabity został pobytowy Karol Swojak przez również pobytowych Jana Szatkę i Edwarda Leinburga. Wypadek ten zasługuje na uwagę ze względu na znęcanie się morderców nad ofiarą. Swojak spotkał na drodze kochankę Leinburga i zeżył ją. Obrażony Leinburg, dowiedziawszy się o tem, co zaszło, postanowił się zemścić; namówił więc swego znajomego Szatkę i o godzinie 8 obadwaj przyszedł do mieszkania kobiety, gdzie zamieszkiwał Swojak. Szatek został na czatach pod drzwi, a Leinburg wszedł do mieszkania, gdzie bawił Swojak w towarzystwie znajomych. Tam podbiegł do Swojaka i pochwywszy go jedną ręką za głowę, drugą wbił ostrze szczyryka w gardło; krew trysnęła na ścianę. Swojak powstał i zataczając się, skierował się ku drzwiom; tu spotkał go Szatek i zaczął okładać go głowie linką drucianą. Swojakowi udało się wydostać na dwór, lecz i tu, pomimo jego prośb, Szatek nie przestawał bić go, a Leinburg kłóć nożem. Swojak potoczył się do suchej glinianki, dokąd jeszcze mordercy ciskali nań kamieniami. Wszystko to działo się w obec całego tłumu kobiet; dopiero przybycie mężczyzn zmusiło morderców do ucieczki. Swojak po kwadransie umarł. *Obserwator.*

Częstochowa. (Kor. „Głosu“). Prócz przedstawienia amatorskiego, urządzonego niedawno z powodzeniem na cel dobroczynny przez miejscową inteligencję, ma być urządzone drugie przez rzemieślników. Rzemieślnicy, zachęceni przykładem dąbrowskich, zamierzają dać przedstawienie, złożone z kilku drobnych sztuczek, pospolicie wybieranych przez amatorów. — Ze sfer fabrycznych nic pomyślniejszego niema. Postawiona w zeszłym roku przedalnia wełny czesankowej, wraz z farbiarnią przez francuską firmę „Motte“ wskutek braku zbytu na towar dotąd w zupełności w ruch puszczoną nie została. Cały zarząd administracyjny i techniczny, złożony z francuzów, nie znających naszych stosunków handlowych, nie umie poprowadzić interesu. W fabryce tej pracuje jeden tylko krajowiec, jako tłumacz w sprawach urzędowych. Ale co gorsza, że w belgijskiej przedalni „Peltzera i synów“ zamiast zwiększać zastęp sił miejscowych, tych co byli już po lat kilka, pousuwano, i sprowadzono pracowników z Verviers; w obec tego można im życzyć powodzenia Motte'ów. Naturalnie przy podobnej administracji niema nadziei podwyższenia płacy nie przenoszącej 50 kop., nawet przy cenach na produkty niemal warszawskich. *T. O.*

Z CESARSTWA.

Lida (Kor. „Głosu“). 18-go b. m. Lida stała się ofiarą ogromnego pożaru, jakiego nie pamiętają tu j od lat 50. Pożar wszczął się w najbardziej zaludnionej dzielnicy miasta — dziwną igraszką losu — w chwili, gdy w klubie, gdzie się miało odbyć amatorskie przedstawienie na korzyść pogorzalców sąsiedniej wsi Szejbaki, właśnie co tylko podniesiono kortynę. Ponieważ dom, z którego ukazał się ogień, znajdował się w pobliżu rynku i sklepów więc zrazu, w ogromnem zamieszaniu, zamiast umiejscawiać ogień, rzucano się do wynoszenia towarów; ponieważ znów z dołżkarzy, obowiązanych dostarczać koni dla straży og-

niowej w czasie pożaru, nie było w mieście ani jednego, gdyż właśnie nadchodził pociąg z Wilna i wszyscy odjechali na banhof — więc i straż ogniowa nie mogła nieść należytej pomocy. Nie dziw tedy, że w kilka chwil płomień przeniósł się już na dalsze domy, a w jakiś kwadrans potem kilkadziesiąt domów już było w ogniu, któremu stawić oporu nie zdołała by nawet lepiej zorganizowana i liczniejsza, niż nasza, straż ogniowa; wskutek tego, w drodze telegraficznej udano się z prośbą o pomoc do gubernatora wileńskiego, który też przybył około godziny 2 w nocy wraz z 6 strażnikami ogniowymi i 1 sikawką; W rezultacie okazało się, iż została zniszczona najbogatsza część miasta a w niej, prócz budowli prywatnych, — domy, gdzie się mieściła straż ogniowa, policja, sąd pokoju i magistrat wraz ze wszystkimi aktami; oraz kancelaryja marszałka. Uratowano z nich tylko część papierów, zgorzały również 3 hedery i sklepy, z których tylko bardzo nieznaczna ilość ocalała. Jakkolwiek straty nie są dotąd bliżej określone, z pewnością jednak można powiedzieć, iż co do przestrzeni uległa klęsce połowa miasta, co do ilości domów więcej niż połowa, co do wartości tychże wraz z rzeczami, towarami i zapasami żywności jeszcze większa część. Ogromna ilość pogorzalców spędziła noc pod otwartym niebem, poczęści w braku mieszkań, poczęści w celu pilnowania uratowanych sprzętów od poślądliwości rabusiów, ilość których przeszła wszelkie w podobnych wypadkach oczekiwania; cała ta masa ludności spędziłaby dzień następny o głodzie, gdyby nie nadeszła z Wilna ofiara, składająca się ze 145 pudów chleba pieczonego, 2 beczek śledzi i bułek, ofiarowanych przez niedawno otworzoną (w Wilnie) piekarnię turecką; we wtorek 8-go okoliczne miasteczka też nadesłały chleb bezpłatnie; ofiary te jednak w połowie nie zadawały potrzeb. W celu niesienia pomocy pogorzalcem marszałek powiatowy zorganizował komitet, składający się z urzędników i osób prywatnych.

O. K.

Kijów. (Kor. „Głosu“). Pół wieku upływa od chwili w której zamkniętą została medyko-chirurgiczna akademija Wileńska. Profesorowie jej rozeszli się wtedy po świecie, wyłączając jednego, profesora chemii Ignacego Fonberga, który wraz z biblioteką, zbiorami i gabinetami akademii przeniesiony został na profesora tejże nauki do uniwersytetu kijowskiego. Żyje on tu dotąd, stułetni prawie starzec, zapomniany. — 30 grudnia 1841 r., dzień zamknięcia Akademii, jest zarazem dniem narodzin wydziału lekarskiego przy uniwersytecie kijowskim, który ma święcić w obecnym roku pięćdziesiąt rocznicę jego istnienia. Między zbiorami akademii wyróżniała się kolekcja preparatów anatomicznych, mało równych sobie posiadająca podówczas w Europie. Chcąc przenieść w całości preparaty, pozostawiono jednego z dawnych służących przy akademii, Jana Skitowicza. Z ojcem przybył do Kijowa Józef Skitowicz, wyrostek podówczas jeszcze, po śmierci ojca objął stanowisko preparatora i kustosa gabinetu anatomicznego. Dziwny to był człowiek ten pan Józef. W swoim pokoiku obok prosektory; jurn przez trzydzieści lat pracował, wciąż się uczył anatomiję i inne teoretyczne nauki lekarskie znał, jak rzadki profesor; by czytać dzieła naukowe w innych językach nauczył się po francuzku i niemiecku. Miał kilka świadectw, między innymi dentysty i starszego felczera, mógł zdobyć sobie dobrobyt, majątek może nawet, mimo to nie opuszczał gabinetu anatomicznego, bo kochał naukę, kochał platonicznie. Powiada gdzieś Hyrtl, że anatom musi mieć rękę artysty, cierpliwość anioła, a żołądek świni. Artystą był pan Józef swego zawodu; preparaty, które przyspasabiał na lekcje i któremi uzupełniał muzeum anatomiczne, były arcydziełami w swoim rodzaju. To przekonanie wystarczało nieboszczykowi za dobrobyt, za wygodę życia. Dla czego nauka nie zapisze imienia jego z nazwiskiem Hirszfelda spółem, winny warunki prędkiej, niż jego zdolności. Całe życie pracował dla anatomicznego muzeum i legł w jego obronie. Kilka tygodni temu pękła rura gazowa w jednej z sal anatomicznego amfiteatru; nastąpił wybuch; ogień za chwilę miał się dostać do muzeum, preparaty Bilkiewicza splanąć mogły w spirytusie. Pan Józef rzucił się na ich ratunek, jakoż wraz z ludźmi, którzy pospieszyli na pomoc, udało mu się stłumić pożar. Wtedy, wskutek silnego wzruszenia, pękło mu serce, na wadę którego ciągnął. Pogrzeb Józefa Skitowicza był uroczysty, trzystu przeszło studentów oraz lekarzy nosiło go na ramionach na cmentarz; trumnę pokrywały wieńce, a w tłumie często dawały się słyszeć głosy „jeśli kto z nas umie coś z anatomii, jemu zawdzięcza“. Rzeczywiście, choć to doń nie należało, uczył śp. Józef anatomii każdego, kto tylko chciał; ciekawym wykladał teorię Kopernickiego, z którym służył pewien czas, o pochodzeniu plemion słowiańskich i demonstrował czaszki,

wymiary których te teoryje stwierdzały. Ubył człowiek, który życie całe służył idei, karyjery nie szukał i synekury nie pragnął. — W tych dniach również pochowano metropolitę Platona. Zmarły znany był, jako działacz kościoła w Wilnie i Rydze, gdzie wielu nawrócił na łono prawosławnej cerkwi. W Kijowie walczył z szerzącą się sektą sztundystów. Mówiąc o zmarłych, zaznaczyć wypada również śmierć paru pism; przestał wychodzić tygodnik *Po moriu i susze*, nie pozostawiając po sobie żadnych wspomnień. Przestało również wychodzić pismo specjalne, poświęcone naukom matematycznym i fizycznym, dla braku poparcia. Śmierć również zabrała przed urodzeniem filiję petersburskiego dziennika *Nowoje Wremia*, które miało wychodzić w Kijowie. Nikt, zdaje się, na tem nie stracił.

Wacł. C.

Z gub. Kijowskiej. (Kor. „Głosu“.) W gubernii Kijowskiej upowszechnia się wielce wśród ludności włościańskiej zwyczaj spisywania pewnego rodzaju intercyzy przy zawieraniu związków małżeńskich w formie t. zw. „rozpiski“. Zasadza się on na tem, iż małżonkowie przed ślubem dają sobie wzajemnie, w obecności „ludzi poważnych“, t. zw. „rozpiski“, t. j. weksle, testamenty i inne zobowiązania majątkowe. Zwyczaj taki ma na celu zapobieżenie rozejściu się małżonków. — Wpadł nam w ręce ciekawy dokument, z którego dowiadujemy się o istnieniu wśród ludu miejscowego w niedalekiej przeszłości oryginalnego zwyczaju. Dokument ten przytaczamy w tłumaczeniu dosłownem. „N-r 4, 1862 r. Października 31 dnia, Kijowskiej gubernii, Skwirskiego powiatu, 4 uczątku mirowego, Łuczynski włościański sąd wołosny na skutek skargi, wniesionej przez zamieszkałą we wsi Łuczynie żołnierkę, Sektlię Sawarcewą, opiewającej, iż miejscowi włościanie: Fedot syn Iwana Lewonczuk i Maksym syn Afanasja Oniszczenko podczas pewnego wesela włościańskiego w nocy zabrali potajemnie 3 kury Sawarcewej, i takowe, zarznąwszy i upiekłszy, zjedli — postanowił: aczkolwiek według przyjętego przez pospolitych włościan powszechnego zwyczaju pozwala się, by w czasie wesela zarówno w domu, gdzie ono się odbywa, jako też i w domach sąsiednich goście zabierali potajemnie kury, zarzynali je i jedli, za co pokrzywdzony zazwyczaj nie miewa żadnej pretensyi — to jednakowoż, zważywszy, że zwyczaj powyższy jest uciążliwym dla gospodarza, któremu kury zabrano, i może być nawet poniekąd nazwany kradzieżą — w celu wykorzenienia rzeczonego zła dla przykładu ogólnego wspomnianym: Lewonczukowi i Oniszczence postanowił wymierzyć w zarządkie wołosnym po 15 uderzeń różgami i nakazać im, by za kury zapłacili według rzeczywistej wartości tychże Sawarcewej, jeżeli ta ostatnia tego zażąda; przyczem wpłynąć na nich, ażeby na przyszłość od praktykowania podobnych zwyczajów powstrzymywali się; postanowienie powyższe zalecić do spełnienia staroście sielskiemu siola Łuczyna Legasijowi Didince; następnie w celu zupełnego wykorzenienia w całej włości Łuczynskiej tego szkodliwego zwyczaju zalecić starszynie Bihiczowi, aby wydał odnośne rozporządzenie“.

W. R.

Petersburg. *Fravitelstwo. Wiestnik* zamieszcza komunikat o dotychczasowej działalności rządu dla okazania pomocy głodnym. W miejscowościach dotkniętych klęską sformowano konferencje żywnościowe, zalecono ziemstwu tworzenie składów, któreby sprzedawały zboże po cenie kosztu, lub niżej. Zorganizowano przewóz zboża, paszy, pozwolono paść bydło, zbierać chrust i t. d. w lasach rządowych i koronnych i zwiększono zarobki ludności. Dotychczas dla 18 gubernij asygnowano 31,905,500 rs., a na roboty publiczne, nie licząc, urządzenia lasów i budowy kolei, 1,125,000 rs. — Tenże organ zamieszcza sprawozdanie specjalnej komisji przy departamencie lekarskim, która zajmowała się kwestyją surogatów mąki żytniej. Sprawozdanie to wymienia szczegółowo, na podstawie badań ilość, w jakich mąka kukurydzowa, owsiana, jęczmienna, kartoflana i grochowa mogą być doławane do mąki żytniej i jak długo w takim razie chleb pozostawać winien w piecu. W ostatecznym braku innych przymieszek komisja zaleca użycie mąki z żółtą, z widlaków i mchu, z korzeni i kłębów perzu i siczki buraczanej. Te ostatnie jednak domieszki mają bardzo mało materij pożywnych. — Suma ofiar, złożonych do d. 10 (22) b. m. do kss Czerwonego Krzyża, wynosi 557,825 rs. — W ciągu bieżącego miesiąca Bank szlachecki wystawia na licytacyję 700 dóbr. Liczba ta figuruje już w trzeciej publikacyi, gdy tymczasem w roku zeszłym wystawiono zaledwie 30 dóbr, z których połowa nabywców nie znalazła. Przyczyną licytacyi jest nieopłacenie raty listopadowej z roku zeszłego, z czego *Niedziela* wnosi, że nieopłacenie rat nie pozostaje w żadnym związku z nieurodzajem roku bieżącego. — Zamierzono rozszerzyć prawo o przesiedleniach a ra-

czej o rozgraniczaniu gruntów, na Syberyję Wschodnią. — Znany z „demokratycznych tendencyj“ profesor Isajew proponuje w *Nowostiach* zakupienie przez rząd majątności księżnej Hohenlohe i osadzenie tam ze 30,000 chłopów z gubernij centralnych w charakterze wieczystych czynszowników. — W Petersburgu otwarto wystawę obrazków ludowych (*lubocznych*). — W Odessie otwarto uroczyste żydowską fermę rolniczą.

Z ZAGRANICY.

Kraków (Kor. spóźniona). Śmierć zbiera u nas plon obfity. Zaledwie zamknęło się wieko nad trumną Kopernickiego, a już trzeba zapisać na karcie żałobnej nazwisko „*Adryjana Baranieckiego*. Wiecie jakie zasługi położył na polu nauki lekarskiej i co zrobił dla instytucji zjazdów lekarskich — o tem pisał „Głos“ w sprawozdaniach specjalnych z ostatniego kongresu krakowskiego, na którym nieboszczyka obdarzono medalem złotym. Ale tutaj o innych chciałbym mówić zasługach. Baraniecki pierwszy w Galicyi zrozumiał, że należy rozbudzić w zacofanych masach kobiet iskierkę światła, że trzeba uświadomić w nich poczucie szerszych dążeń i ideałów. W tym kierunku ześrodkował też wszystkie swe siły moralne, materyjalne i umysłowe. Przedewszystkiem, jeżdząc po świecie, zebrał trzydzieści kilka tysięcy okazów z dziedziny przemysłu, techniki i etnografii, ofiarując je bezpłatnie miastu, jako muzeum techniczno-przemysłowe, a następnie założył tutaj wyższą szkołę z kursem dla kobiet, (obok swego muzeum), gdzie lepsi nauczyciele wykładali nauki przyrodnicze, historję, filozofję, estetykę i t. d. Zakład utrzymywał Baraniecki własnym funduszem i trudem. Nie zrażał się trudnościami ani wstecznością powag, które propagowały „klasztorną naukę“ — dążył naprzód do celu. Czy go osiągnął? W części tylko, bo wśród galicyjanek zamiłowania do nauki nie rozbudził, gdyż stanęła temu na przeszkodzie odporność głów, które obawiano się „przeciążyć“, natomiast wykształcił w ciągu 23 lat wiele kobiet przeważnie „obcokrajowych“. Dopiero rok temu skarżył się przedemną Baraniecki na słaby udział galicyjskiej „inteligencji“ niewieściej, na brak zrozumienia interesów i potrzeb takiego zakładu u społeczeństwa i władz. Dziś umarł, a nie zostawił następcy. Za życia Baranieckiego nie uznawano, nad działalnością jego uważano za stosowne przechodzić do porządku dziennego — teraz dopiero chwałą głośno zmarłego — zapóźno! Umarł z gorzkim na ustach uśmiechem, zniechęcony do najbliższego otoczenia. Po co to zbierać teraz składki na dalsze prowadzenie instytutu, kiedy wiadomo z góry, że tylko wówczas się składka uda, kiedy zjawi się „ktos“ i złoży odpowiednią sumę. Sprawa zakładu Baranieckiego dość ściśle łączy się z kwestyją projektowanych kursów uniwersyteckich dla kobiet w Krakowie. Otóż chciałbym zwrócić uwagę p. Marrené i innych pań, zabierających głos w tym przedmiocie, że petycja samych galicyjanek nie wrzuci senatu, od którego ostateczna decyzja jest zależną. Władza uniwersytecka zna dokładnie skalę „wykształcenia“ naszych niewiast i tylko w takim razie zgodziłaby się na otwarcie kursów, gdyby prośbie nadano charakter ogólniejszy. To jest jedyna droga, prowadząca do celu. — Teatr wystawił „*Wroga ludu*“ Ibsena, w tłumaczeniu p. Suessera. Na trzecim przedstawieniu były już pustki, bo Kraków lubi „*rzeczy*“ wesole i płytkie. *Vox.*

Kraków. (Korespond. „Głosu“.) Dwie sprawy polityczne doniosłego dla Galicyi znaczenia znajdują się obecnie na porządku dziennym rozpraw parlamentarnych i głośnem się tutaj odbijają echem. Mamy oczywiście na myśli: decentralizacyję zarządu kolei państwowych i projektowaną reformę ordynacyi wyborczej w kurii wiejskiej, czyli tak zwanych mniejszych posiadłości. Galicyja, jako kraj przeważnie rolniczy, musi w braku dochodu z przemysłu wysłać swe produkty na Wschód koleją Karola Ludwika, która z nowym rokiem przechodzi na własność państwa. Dotychczas taryfy kolejowe na tej przestrzeni były wysoce dla nas niekorzystne, bo protegujące obcych konkurentów. Obecnie Koło polskie, po raz niewiedzieć który, ośmieliło się powtórzyć swe postulaty, dotyczące autonomii taryf, ustanowienia osobnej dyrekcyi we Lwowie, utworzenia galicyjskiej rady kolejowej i zwiększenia liczby członków w austriackiej radzie kolei. Przeciw „daleko idącym rozszereżeniom“, jak powiada „*Neue Fr. Presse*“ i jej pokrewne grynderskie organa, wystąpili głównie minister handlu Bacquenem, sztab wojenny, rzekomo ze względów strategicznych, i szef sekcji w dyrekcyi kolei państwowej, kandydat na ministra komunikacyi p. Witek. Poczęto tedy piorunować przeciw Kołu polskiemu, ochrzczono je nawet wyrazem nielojalnego

(o ironijo!) użyto bardzo nieprzystojnych środków dla osłabienia działalności Koła i t. d. Prasa niestannie pobudzała delegatów krajowych do wytrwania w słusznych i umiarkowanych żądaniach, dzięki czemu reprezentacyja nie dała za wygraną i wciąż kołatała do wrót ministeryjalnych. Dotychczas mieliśmy wieści rozmaite, to dobre, to znowu gorsze, które jednak nie dawały żadnej podstawy do wiary. Dopiero dziś dochodzą nas zakulisowe wieści o odbytej naradzie ministeryjalnej, gdzie rzekomo miano się zgodzić na ustanowienie dyrekcyi we Lwowie, natomiast odrzucono wedle tejże wersyi, dwa ważne postulaty, jak autonomię taryf i radę kolejową. Z kolei przyjrzymy się drugiej sprawie i reformie wyborczej. Wiadomo zapewne czytelnikom „Głosu“, że w kurii włościańskiej istniały dotąd t. z. wybory pośrednie, t. j. że włościanie wybierali dopiero z pośród siebie ludzi, uprawnionych do wyboru posła do rady państwa. Anomalijska, sięgająca dawnych czasów, była bardzo na rękę konserwatystom, dobijającym się w ten sposób mandatów za pomocą kiełbas, wódek i t. p. Projekt reformy ordynacyi wyborczej w tej kurii zmierza, właśnie do wprowadzenia tam wyborów bezpośrednich, czemu się gwałtownie stańczycy opierają. W Zabierzowie pod Krakowem siedzi na probostwie ks. Klemens Radwański, który z kazalnicy rzuca gromy na kółka rolnicze nazywając je „instytucyją masonską“ (sic!). Nie wie chyba, że kółka popierane są nawet przez ks. kardynała Dunajewskiego inaczej bowiem nie odmawiałby rozgrzeszenia członkom tych stowarzyszeń. Ciekawem i znamiennem jest, że tenże ksiądz przyjął ofiarowaną mu kwotę na odprawienie nabożeństwa na intencyję powodzenia kótek. Mszą rzeczywiście odprawił, co mu jednak nieprzeszkodziło piorunować z ambony przeciw „masoneryi kótek rolniczych“. Nie pisałbym wam o bankructwie niejakiego Libermana w Borysławiu (kopalnie wosku ziemnego) gdyby nie smutny fakt, że do rządu wierzycieli należy także kasa bracka górników, których ciężko zaoszczędzony grosz może pójść na marne. Czynią starania, aby niewielką tę sumę, owoc długoletniej pracy i zabezpieczenie starości w jakibądź sposób uratować. Nowi profesorowie uniwersytetu, t. j. profesor zwyczajny prawa polskiego dr. Pękosiński i docent fizyki matematycznej dr. Wł. Natanson rozpoczęli już swe wykłady. Wczoraj nadeszła tutaj wiadomość o nominacyi p. L. Adametza b. docenta w akademii rolniczej w Wiedniu, na profesora nadzwyczajnego hodowli zwierząt w uniw. krakowskim — W bieżącym tygodniu ustawionym będzie pomnik ś. p. marszałka Zyblikiewicza na cmentarzu krakowskim. — Pomnik Mickiewicza ma być ukończony we wrześniu p. r. — Akademicy zwołują w sprawie dopuszczenia kobiet na uniwersyteckie kursy filozoficzne. *Vox.*

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Przyjaźń republikańsko-klerykalna okazała się nader krótko-trwałą. Nie przebrzmiały jeszcze wymienione słowa grzeczności a już zaczyna się na małą skalę „wojna z klerykalizmem“. W zeszłym tygodniu pisaliśmy o protestach biskupów francuzkich przeciw cyrkularzowi, zakazującemu dalsze pielgrzymki do Rzymu. Protesty były nadzwyczaj szorstkie, minister Failleres uczuł się obrażonym, i pociągnął już do odpowiedzialności za obrazę swojej osoby arcybiskupa z Aix, Gouthe-Soulard'a. W razie skazania grozi mu więzienie od 3 miesięcy do 5 lat i kara pieniężna od 300 do 6,000 franków. Godnem jest zaznaczyć, że arcybiskup uchodził za człowieka bardzo przychylnego rządowi i jako taki właśnie forytowany był na swą katedrę przez radykalne ministeryjum Gobleta. Wślad za arcybiskupem pociągający prawdopodobnie zostaną inni biskupi. Papież przysłał pozwanemu swe błogosławieństwo. Dzienniki klerykalne piorunują, umiarkowane są niezadowolone, radykalne zachwycane energiją rządu, monarchiczne zaś cieszą się, że wystąpienie gabinetu odbierze duchowieństwu ochotę do kompromisu z rzeczą pospolitą.

Jakie właściwie przyczyny pobudziły rząd do zmiany polityki wobec duchowieństwa — trudno powiedzieć napewno. Jedni objaśniają fakt ten wpływami radykałów, których popiera w łonie rządu przez gabinetu, Freycinet. Inni znowu upatrują w tem oznakę zmiany stosunku do Włoch, których właśnie fakt ten ma przekonać, iż Francuja nie ma najmniejszego zamiaru wystąpić w obronie świeckiej władzy papieża i t. d. Ta zmiana ma się jakoby wiązać ściśle z wizytą p. Giersa w Medyolanie i Monzy i zamianowaną będzie przez wystąpienie eskadry francuzkiej na powitanie króla Humberta.

Jeżeli jednak stosunki Francji z jedną „siostrą łaćską” zdają się polepszać, natomiast stosunki z drugą siostrą, Hiszpanią stają się coraz gorsze. Za Pyrenejami ogromnie rozdrażnieni są na Francję za podwyższenie taryf przewozowych od wina hiszpańskiego, co fatalnie wpływa na bardzo znaczny dotąd eksport. Dzienniki hiszpańskie przepełnione są goryczą dla niewiernych przyjaciół i grożą wprost przystąpieniem do trójprzymierza. Rząd francuzki sam bardzo niechętnie się zapatruje na podwyższenie taryf, musiał jednak uleść gwałtownym domaganiom się francuzkich właścicieli winnic, którzy krzyczeli w niebogłosy, że wino hiszpańskie zabija produkcję francuzką. Rząd ma zamiar podobno dla ułagodzenia hiszpanów udzielić ich winu ulg w opłacie cła.

Dzienniki niemieckie wielce są niezadowolone z podróży J. C. W. W. X. Włodzimierza do Hiszpanii, nadają jej one wielkie znaczenie polityczne, przypisując Rosji zamiar pogodzenia Francji z innymi ludami łaćskimi.

Pomimo że każde niemal przemówienie każdego ministra francuzkiego głosi przedewszystkiem o utrzymaniu pokoju, o większej jego pewności i t. d., gazety niemieckie szperają jednak usilnie i uderzyły na alarm z powodu mów Ferry'ego i Guyot'a, w których dostrzegły cień wspomnień o Alzacyi. W ostatnich dniach znowu daje im wiele powodu do rozmaitych uwag nowe rozporządzenie Freycineta o pułkach „mieszanych”, rozporządzenie, które część armii terytorjalnej łączy ściśle z armiją czynną i które, jak utrzymuje sam jego autor, znacznie powiększa, czy nawet zdwaja siłę bojową armii francuzkiej.

W Niemczech na nowo się rozpoczyna agitacja bismarkowska. Dzienniki wierne księciu podjęły teraz kwestyję jego dymisji i z dziwną natarczywością dowodzą po raz już nie wiem który, że książę Bismark nie chciał wcale usuwać się od rządów i że ustąpić musiał jedynie wobec aż nadto wyraźnej woli monarchy. Większe zajęcie od tych nienowych rewelacji wywołała przypisywana Lotharowi Bucherowi broszura: *Przyjąć czy odrzucić*. Pytanie stosuje się do traktatu handlowego z Austryją, główny jednak interes broszury polega na ostrej krytyce obecnej polityki zagranicznej Niemiec. Autor dowodzi, że nietaktowne postępowanie (do czego zalicza drugą podróż Wilhelma II do Petersburga i pobyt cesarzowej Fryderykowej w Paryżu) przyspieszyło porozumienie Rosji z Francją, obecni kierownicy zapomnieli o tem, co było myślą przewodnią polityki Bismarka: pogodzenie Rosji z Austryją i wskutek tego zupełne izolowanie Francji, która albo musiałaby się ugiąć wobec potężnej ligi sprzymierzeńców, albo zejść do liczby państw drugorzędnych, w rodzaju Hiszpanii.

Dużo mówiono też w Berlinie o odrzuceniu przez duńskiego ministra prezydenta Estrupa ofiarowanego mu orderu niemieckiego, dzienniki urzędowe przeczą wszakże temu.

W ostatnich dniach znowu zajmują się nad Sprewą przyjazdem króla rumuńskiego, który przybywa tu z Włoch, ztąd zaś wracać będzie do kraju przez Wiedeń, co wszystko daje powód do przypuszczeń o przystąpieniu Rumunii do „ligi pokoju”. Ta ostatnia zresztą, jak się wyraził Crispi w niedawnym liście do adwokata Desmaresta w Paryżu, łątwoby się mogła przedzierzgnąć w „Stany Zjednoczone Europy”, gdyby Francja do niej przystąpić chciała.

Bardzo żywo zajmowano się w Niemczech kongresem erfurckim, który zakończył się, jak wiadomo, wyrzuceniem z łona stronnictwa socjalno-demokratycznego tak zwanych „młodych”. Zdaje się jednak, że dzienniki liberalne zawiodły się co do znaczenia rozdwojenia w stronnictwie. Karność socjal-demokratów okazała się większą, niż przypuszczano, wykluczonych porzucają dawni ich zwolennicy i na mityngu w Berlinie większość wypowiedziała się za uchwaleniem kongresu. Wykluczeni „młodzi” opuścili już zajmowane dotąd w stronnictwie stanowiska: dr. Wille nie jest już nauczycielem szkoły robotniczej, tapicer Willberger przestał być kasyjermem stowarzyszenia *Freie Volksbühne* (wolny teatr ludowy), redaktor Baginsky wrócić musiał do swego dawnego zajęcia, szewctwa i t. d.

Posiedzenia austryjskiej rady państwa są dość spokojne. Stronnictwa niby to rządowe postanowiły możliwie skrócić obrady nad budżetem i dla tego debaty ogólne trwały zaledwie 3 godziny, przemawiali tylko młodocześni. Ze stanowiska zasad parlamentaryzmu dzieją się w tej radzie rzeczy nie do uwierzenia. Przychodzi na stół kwestyjna funduszu dyspozycyjnego. Hr. Taaffe żąda jego przyjęcia, oświadcza jednak, że kwestyję tę nie łączy wcale z kwestyją zaufania parlamentu do gabinetu. I słusznie robi, bo oto Plener, przywódca niby to rządowego stronnictwa, oznajmia, że głosować będzie za funduszem, nie znaczy to jednak wcale, iżby miał do gabinetu zaufa-

nie, ma on mu, przeciwnie, do zarzucenia, iż nie stara się sformować większości. Młodocześni głosowali, naturalnie, przeciw.

W Wiedniu bawili hr. Thun, ks. Lobkowitz i dr. Rieger, z którymi naradzał się gabinet co do podziału okręgów sądowych w Czechach na niemieckie i czeskie. Cesarz i rząd nastają na jaknajprędze wprowadzeniu w życie „ugody” i nie chcą słyszeć o żadnych nowych pertraktacjach, do których mieliby być zaproszeni młodocześni.

W Węgrzech ogromne zainteresowanie budziło zajęcie między ministrem Szilagyi a dr. Horańskim. Ten ostatni uczuł się dotkniętym osobiście słowami ministra i wyzwiał go na pojedynek. Czy minister *sprawiedliwości* stanie do pojedynku, który surowo zakazany jest przez prawo, czy poda się do dymisji — oto pytania, powszechny budzący interes. Zdaje się jednak, że sprawa zostanie załagodzona przez sekundantów, którzy orzekli, że minister niczem nie obraził osobiście doktora i obrazić go nie chciał.

Umiarowana opozycja węgierska, przywódcą której jest hr. Apponyi, przybrała nazwę „stronnictwa narodowego” i zamierza dalej prowadzić walkę z gabinetem, od którego różni się ona większą „ostrością tonu” w żądaniach co do samodzielności Węgier i niechęcią dla centralistycznej reformy administracji miejscowej.

W Corku na zebraniu wyborczym jako następcę Parnella przedstawił się John Redmond, który złożył mandat, jaki miał w dawnym okręgu.

W Berlinie d. 20 b. m. zebrał się delegaci niemieckich i zagranicznych gmin żydowskich dla narady nad emigracją żydów z państwa ruskiego. — Turcja postanowiła nie dopuszczać emigracji żydów nie tylko ruskich, ale wszelkich, ze względów higienicznych. — Agenci barona Hirscha zorganizowali już pierwszą koloniję żydowską w Argentynie — „Mauricio”, mającą 26,000 hektarów obszaru.

W Berlinie, jak donosi *Słowo*, oczekują znowy zecerów, którzy posiadają wzorową organizację, rozgałęzioną w całym państwie i zostają pod wpływem socjalistów. Zecerzy, których przeciętny zarobek wynosi 35 mar. tygodniowo (10 1/2 rs. w złocie), żądają podwyższenia płac o 10% i zmniejszenia dnia do 9 godzin. Liczba zecerów w samym Berlinie wynosi około 20,000.

W Południowej Walii (w Australii) upadł gabinet liberalny Parkesa, dążący do wytworzenia federacji australijskiej wskutek zwycięstwa stronnictwa robotniczego, żądającego prawnego ustanowienia 8 godzinnego dnia roboczego.

Dzienniki doniosły, jakoby na katedrę arcybiskupią gnieźnieńsko-poznańską mianowany będzie znany i ceniony powszechnie ksiądz Jazdzewski. (?) *Nordd. Allg. Ztg.* zaś ogłasza, że arcybiskupem zostanie w każdym razie polak.

Posiedzenia sądu rzymskiego, rozpatrującego sprawę anarchistów, oskarżonych o zaburzenia z d. 1 maja odznaczają się burzliwymi scenami. Posađni występują, jak powiada *Kur. Warsz.*, z zachwałami filipikami przeciw rządowi i społeczeństwu, rozwijając cały katechizm swej wiary.

W Dublinie do redakcji pisma antyparnelowskiego wrzucono bombę, która nie przyniosła zresztą żadnej szkody. — W Belgii, w Quevy wysadzono kościół dynamitem.

KRONIKA Powszechna.

— **Rozporządzenia rządowe.** General-gubernator warszawski polecił, ażeby ułatwić emigrację z Królestwa Polskiego tutejszym obywatelom wyznania mojżeszowego, przy podaniach o wydanie paszportów emigracyjnych nie żądać od nich składania zastrzeżonych kaucyj pieniężnych, po rs. 75 od każdego pełnoletniego i po rs. 50 od małoletnich. — Komisja opracowująca kwestyję żydowską, zaprojektowała: zabronić żydom udziału w dostawach rządowych, wyrobu spirytusu i gorących napojów, o ile nie będzie stwierdzonem, że produkcja dokonywa się na wywóz zagranicę. Lichwa wzbroniona będzie bezwarunkowo. — „Mosk. Wied” donoszą, że w wyższych instytucjach rządowych poruszono kwestyję zakazu używania polskich miar długości. — Na mocy istniejących ustaw o najmie robotników i służby, we wszystkich większych miastach Królestwa Polskiego, gdzie funkcjonują władze poliemaistrów, ma być zaprowadzona przy tych organach policyjnych kontrola służby prywatnej i robotników przy pomocy książeczek służbowych, bez których pracodawcy nie mogą przyjmować kandydatów do służby, i do których należy wpisywać warunki najmu i świadectwa przy odprawianiu ze służby. Formalności są bardziej uproszczone, niż w warszaw-

skiej kontroli służących. Cena książeczki 5 kop. Kontrolę taką już zaprowadzono w Łomży. — Z rozporządzenia władzy naukowej zakłady naukowe w Płocku: ceteroklasową szkołę żeńską, utrzymaną przez p. Topolską, i 4-klasową szkołę męską, prowadzoną przez p. Kokowskiego, zamieniono na szkoły trzyklasowe. — Ministerjum spraw wewnętrznych świeżo ponowiło rozporządzenie, zabraniające radcom rządów gubernialnych, członkom polityki, dyrektorom kancelaryj gubernatorów i służbie więziennej przyjmowania udziału w jakichkolwiek interesach handlowo-przemysłowych, instytucjach finansowych i akcyjnych. — Ministerjum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę Towarzystwa opieki nad nieletnimi kalekami i idyotami płci obojga. Na początek Towarzystwo otwiera przytułek dla bezpłatnych i płatnych pensjonarłów przy stacyi Udzielna drogi żelaznej Finlandzkiej, w domu ofiarowanym towarzystwu. — Komisja przy ministeryjum sprawiedliwości opracowała projekt nowej taksy obrończej. Wysokość honoraryjum zależy jedynie od wysokości sumy, będącej przedmiotem procesu.

— **Kronika społeczna.** „Gaz. Sąd.” warszawska zwraca uwagę na konieczność utworzenia w Warszawie izby obrończej. Pismo podnosi okoliczność, że w Królestwie Polskiem, jeszcze przed wprowadzeniem ustaw sądowych ces. Aleksandra II, istniała korporacja obrońców, że wyrobiła ona oddawna tradycję etyczną i poważanie w opinii publicznej. — Towarzystwo akcyjne K. Scheiblera w Łodzi postanowiło zakupić chleb i sprzedawać swoim robotnikom po 3 1/2 kop. funt. Na przewidziane z tego powodu straty Towarzystwo wyznaczyło specjalny fundusz, wynoszący około 50,000 rub. Firma J. K. Poznański sprowadziła ze swoich majątków ziemskich 100 wagonów kartofli, które rozprzedano robotnikom fabrycznym po cenach znacznie niższych od targowych. — Zarząd księstwa łowickiego, ogłaszając współzawodnictwo na dzierżawę karczem i propinacji w majątkach, należących do zarządu, a położonych w powiatach: sochaczewskim, skierniewickim i łowickim obniżył ceny dzierżawne i czynsze karczemne o 25 proc., a to z powodu coraz większego upadku miejskich propinacji. — Według obliczeń urzędowych klasztor na Jasnej Górze odwiedziło w r. b. prawie o połowę mniej pielgrzymów aniżeli w roku ubiegłym. Należy to przypisać nieurodzajowi i niesprzyjającym warunkom klimatycznym tego lata. — W Łodzi powstał projekt założenia czytelnicy bezpłatnej przy Tow. dobroczynności. — Inspekcja fabryczna w centralnych guberniach wytoczyła proces pewnemu fabrykantowi o to, iż robotnikom potrącał część zarobku w stosunku do spłacanej przez niego składki ubezpieczenia od wypadków. — Jeden z gubernatorów nadwołżańskich projektuje, aby włościanie zaległości podatkowe mogli pokrywać zbożem, zaspując je do magazynów rządowych. — P. Isajew w „Nowostich” proponuje, aby skarb zakupił dobra powitgensteinowskie i przesiedlił do takowych 20 do 30 tysięcy mieszkańców gub. Kurskiej, z której dotąd emigrują na Syberyję.

— **Kronika ekonomiczna.** Właściciele kopalni węgla z okolic Dąbrowy i Sosnowic utworzyli syndykat czego następstwem jest podrożenie powyższego produktu o 6—7 kop. na korcu. — Również hurtowni składnicy nafty zawarli między sobą układ „celem ujednostajnienia cen”. — W istniejącej przy magistracie m. Warszawy kasie oszczędności 19 b. m. 43,390 uczestników posiadało 2,002,348 rubli. — Kolej żel. Fabryczno-Łódzka otrzymała koncesyję na budowę kolei obwodowej w Łodzi i podjazdowych do Zgierza i Pabjanic. — W roku 1887 wartość produkcji fabryk bawełnianych wynosiła w okręgu moskiewskim 156 mil., w r. 1889 zaś 175, czyli o 18 mil. więcej, w okręgu zaś łódzkim w r. 1887, 41,3 mil., w r. zaś 1889, 39,6 czyli o 0,7 mil. mniej. — W ciągu r. 1890 wywieziono zagranicę 4,219,764 wiader spirytusu czyli więcej o 237,266 wiader niż w roku poprzednim. Poruszoną została kwestyjna rządowych zakupów zboża dla gubernij dotkniętych nieurodzajem w miejscowościach posiadających jeszcze zapasy zboża. Zakupy te wedle projektu mają być dokonywane tylko od właścicieli ziemskich, ewentualnie włościan, z pominięciem spekulantów. — Z urzędowego sprawozdania o rezultacie wpływu podatków za rok 1890, „Nowoje Wremia” przytacza dziwny fakt, że w dziewięciu guberniach, mających stosunkowo dobrą ziemię, jak: Samarska, Kazańska, Tambowska, Ufińska, Niżegrodzka, Saratowska, Orenburska, Penzeńska i Symbirska, zaległości podatkowe po koniec 1890 r. wynosiły 85,020,000 rubli, przy ogólnej sumie podatków rocznych 26,529,000 rub., czyli prawie 2/3 zaległości z europejskiej części państwa rosyjskiego.

— **Oświata i szkoły.** Ministerjum oświaty zbiera dane o liczbie i stopniu naukowym wykładowych w szkołach i szkółkach prywatnych. — P. Bolechowski, wychowaniec instyt. nowoaleksandryjskiego, stara się o pozwolenie na założenie niższej szkoły rolniczej w powiecie ilżeckim. —

Komisja do szkół technicznych proponuje utworzenie żeńskich szkół profesjonalnych i przygotowuje dla takowych normalną ustawę. — Szkół morskich w europejskiej Rosji jest obecnie 44, z tych 14 w miastach portowych morza Azowskiego i Czarnego, 30 zaś nad morzem Bałtyckim, Kaspijskim i Białym. W ciągu ostatnich pięciu lat było w tych szkołach 1,200 uczących się, mianowicie 65% rosyjan, 34% poddaanych ruskich innych narodowości i 4 proc. cudzoziemców. — Do narad nad organizacją nauki agronomii wezwano doświadczonych i praktycznych pedagogów francuskich. („St. P. W.“).

— **Literatura i sztuka.** Prawa na wydawnictwo „Przełomu pedagogicznego“ po śmierci A. Szumowskiego przeszły na p. Wł. Półkockiego. — W Jarosławiu (Galicyja) zaczął wychodzić dwutygodnik: „Gazeta Jarosławska“. — W Paryżu wyszło dzieło Maurycego Blocka „Le socialisme moderne“. — W Kaliszu dr. W. Wicherkiewicz z Poznania wygłosił odczyt w Tow. lekarskim. — Z zapomogi kasy Mianowskiego wyszedł tom I, części 2-iej „Ustaw hypotecznych“, z objaśnieniami p. Jeziorańskiego.

— **Wiadomości osobiste.** Dr. M. Jakowski został wybrany na redaktora „Pamiętnika Tow. lekarskiego warszawskiego“. — Pan Bolesławski, artysta dramatyczny scen prowincjonalnych, został zaliczony w poczet artystów teatrów rządowych. — Do komisji gubernijalnej do spraw fabrycznych oprócz członków mianowanych z urzędu we-

szli p. B. Hantke i K. Szlenker — przemysłowcy warszawscy.

— **Zmarli.** Władysław Pelczarski, rzeźbiarz, pochodzący z Rymanowa w Galicyi. Nędza popchnęła tego zdolnego człowieka do samobójstwa.

Kronika literacka.

Wisła tom V, zeszyt 3 (lipiec, sierpień, wrzesień 1891 r.)

P. Jeleńska kończy w tym zeszycie pracę p. n. „Wieś Komarowice“, na którą zwracaliśmy uwagę czytelników, mówiąc o 2-m zeszycie *Wisły* za r. b. Mamy tu doskonałą charakterystykę sposobów wychowywania dzieci u chłopów ruskich, oświaty, pojęć społecznych, religijności, moralności, pojęć o świecie przyrodzonym i nadprzyrodzonym, oraz zwyczajów związanych ze świętami kościelnymi. Dalej następuje „Kronika geograficzna za r. 1890“, p. W. Nałkowskiego, „Gry i zabawy w Rościszewie“, p. Rachelę Krzywicką, „Dwa zamawiania starożytne“, p. Rafała Lubicza, „Boginki Mamany“ studjum, po prof. M. Sumcowa, specjalnie dla *Wisły* napisane, dalszy ciąg dzieła T. Achelisa „Rozwój etnologii nowoczes-

nej“, „Z podań i wierzeń ludowych“ (z pod Krakowa), p. St. Polaczka i in. Szczególnem bogactwem odznacza się dział sprawozdań i biblijografii, przy obecnym stanie nauki u nas, dział nadzwyczaj pożyteczny. Zapoznajemy się tutaj, w zakresie ludoznawstwa, antropologii, wiaroznawstwa, dziejów cywilizacji i kultury, geografii i podróży, z najnowszemi pracami we wszystkich językach europejskich (nb. w biblijografii spotykamy tytuły nowości nawet łotewskich, hebrajskich i in.) Ostatni zeszyt, we wszystkich działach pełen ciekawego materiału, zawiera 16 arkuszy druku. Jest to chyba rzadkie wydawnictwo, które daje więcej, niż zapowiada, i lepiej, niż po obecnych warunkach pracy naukowej spodziewać się można.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi-

P. T. R. z *Nowogr.* Skargi pana są słuszne, ale ile już razy o tem pisano bez skutku.

P. J. S. w *Wi.* Żądane książki przyślemy panu przy sposobności.

P. St. K. w *Ż.* Rękopismu z wiadomej redakcyi jeszcześmy nie odebrali, nie wszystkie bowiem obrzędy i ceremonie zostały wypełnione, zapewniano nas jednak, że w tych dniach, otrzymamy.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Tylko do 1-go stycznia 1892 r.

Pięć tomów

SPENCERA

(Zasady Socyologii 2 tomy, Instytucje obrzędowe, Instytucje polityczne i Instytucje kościelne)

za 4 rs.

Przesyłka opłaca się za 5 funtów stosownie do odległości

Skład główny w księgarni T. Paprockiego i S-ki, Nowy-Świat 41.

Dostawca Dworu Cesarsko-Austrijsko-Węgierskiego.



Niszczy grzybeki drzewny i osusza wilgoć raz na zawsze i t. p.

Broszurkę niezbędną dla każdego budującego wysyłam franco i bezpłatnie.

Wynalazca Inż.-techn. **G. Ritter.**

Królewska 39, w Warszawie.

Lekcje zbiorowe

Nauk przyrodniczych

PROWADZI

Dr. Wanda Szczawińska.

Żórawia 15, m. 12, od godz. 4-ej—6-je.

Poszukuje zajęcia

Człowiek w średnim wieku, żonaty, który przez lat kilka pracował w fabryce, pełnił obowiązki woźnego w Redakcyi, dozorecy i t. p. Wiadomość w redakcyi *Głosu*.

KSIEGARNIA

Teodora Paprockiego i S-ki

W WARSZAWIE,

41. Nowy-Świat 41.

Księgarnia nasza przyjmuje prenumeratę na wszystkie pisma, dzieła peryodyczne i gazety codzienne, w kraju i za granicą wychodzące. Posiada wielki wybór dzieł w językach: polskim, francuskim i niemieckim. Dostarcza dzieła wszelkiej treści i we wszystkich językach, po cenach oznaczonych przez wydawców. Załatwia specjalnie wszelkie zlecenia osób na prowincyi zamieszkałych, zakłada kantory prenumeraty pism.

Przyjmuje zamówienia na wszelkie druki, rejestra gospodarskie, materiały piśmienne; podejmuje się pośrednictwa wszelkich robót drukarskich, po cenach najprzystępniejszych.

Informuje i zakłada czytelnie i biblioteki; zakupując książki hurtowo, po cenach najniższych, dostarcza takowe w oprawie lub bez oprawy.

Wogóle podejmuje się załatwiania danych jej zleceń, w zakres księgarstwa wchodzących, z całą sumiennością i akuracnością. Katalogi, prospekta oraz numery okazowe pism wysyła bezpłatnie.

Wyszły z druku:

GAWĘDY EKONOMICZNE

Przełożył i uzupełnił

ZYGMUNT HERYNG

str. 118. Cena kop. 30

Wyszła z druku nakładem redakcyi „Głosu“ i jest do nabycia w księgarniach

nowa powieść Edwarda Bellamy'ego

Sposób d-ra Heidenhoffa

Cena kop. 50.

Tegoż autora:

W roku 2000.

Wydanie 4-te z portretem autora.

Cena kop. 60.